



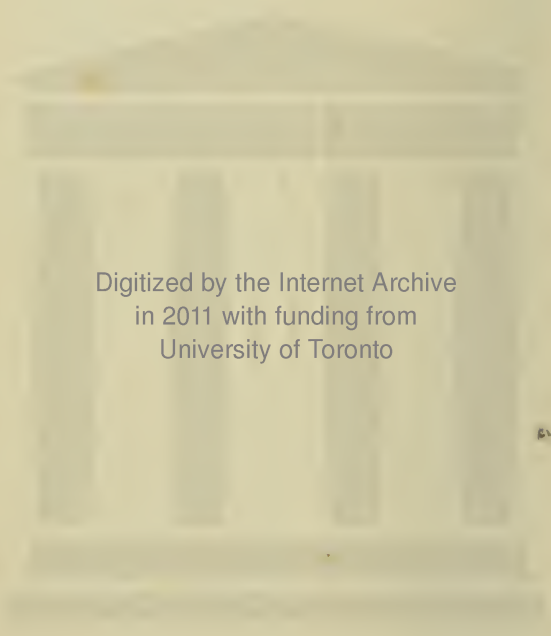
3 1761 08822382 1

H. Sienkiewicz

P I S M A

III.





Digitized by the Internet Archive
in 2011 with funding from
University of Toronto

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM III

KRAKOW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

LP
S5724

Sienkiewicz, Henryk

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM III

LISTY Z PODRÓŻY:

WSTĘP
POBYT W LONDYNIE I POBRÓŻ
DO LIWERPOLA
Z OCEANU
POBYT W NEW-YORKU

486077

17.2.49

WARSZAWA

NAKLAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

(DODATEK BEZPŁATNY)

1899

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Октября 1898 г.

W S T Ę P.

W życiu literackiem dzieje się wiele rzeczy tak nagłych a niespodziewanych, jak śmierć, od której zastrzegamy się w suplikacjach, lub asekurujemy w naszych towarzystwach ubezpieczeń. Co do mnie, jak prawdziwe dziecko wieku, nie zwykłem się dziwić lada czemu, i gdyby mi ktoś nawet powiedział, że:

„Był młody, który życie wstrzemięźliwie pędził,
Był stary, który nigdy nie łajał, nie zrzędził,“

wówczas, kiwnąwszy głową, poprosiłbym tylko o dalszy ciąg tej dobrej bajki, lub co najwięcej zakończyłbym ją tak, jak sam Krasicki:

„Wszystko to być może,
Jednakże ja to między bajki włożę.“

Lecz gdyby ten sam *ktos* przyszedł do mnie w lutym i rzekł mi, że przy końcu marca przejadę Niemcy, Francję, całą długość Anglii; że przepłynę na wiosnę burzliwy Atlantyk, a na-

stępnie, jak ptak na skrzydłach, przeleczę niezmiernie przestrzenie wielkiej kolei od New-Yorku do San-Francisco i strząsnę proch z obuwi mego na brzegach Oceanu Spokojnego, temu odrzekłbym bez wahania:

— Przyjacielu! pisuj artykuły polemiczne do Kroniki Soblonowskiej, albowiem widzę, że zmysły twoje nie są z tego świata.

Rzeczywiście: prędzej przypuszczałbym, prędzej uwierzyłbym, że wydadzą składkowy obiad dla mnie, na którym l'abbé Wylizalski powie mówkę na moją cześć i zamianuje mnie p. o. zelanta przy najmłodszej i najprzystojniejszej ze swoich owieczek; prędzej uwierzyłbym, że Antychryst, jak mnie o tem zapewniała jedna z moich kuzynek z Wolynia, przyszedł już na świat; prędzej nakoniec uwierzyłbym we wszystko, niż w moją wycieczkę do Ameryki.

A jednak — oto, jak się to stało.

Pewnego poranku przyszedłem do redakcyi, i wzięwszy do ręki jedno z pism naszych, począłem je czytać. Było to jakoś w owym czasie, w którym odcinek mój o zelantach zjednał mi taką sympatyę w niektórych sferach naszego społeczeństwa, że stałem się dla nich polnym marszałkiem wszelkich zastępów piekielnych.

Zewsząd groziły mi niebezpieczeństwa. Chevalier Zielonogłowski, który już nieraz poprzednio wołał w celu ukarania mnie «o szpadę ojców swoich,» o mały włos nie zabił mnie w pojedynku, ale nie zabił tylko dlatego, że nie wyzwał; hrabianka Pipi wydawała zawsze *un petit cri*, jak zraniony gołąb, ilekroć ujrzała nazwisko moje, drukowane w któremkolwiek z pism warszawskich; w ciszy zaś każdego poranku dochodził mnie płacz świątobliwego oburzenia Kroniki Soblonowskiej.

Ach! nie piesek to zginął Kronice Milutek, ani ziarenko z różańca; żadne z jej dzieci nie zbłąkało się w lesie grzechów «Przeglądu Tygodniowego»; a jednak płakała ciągle, jak owa panna, która

„Słuchać wcale nie chciała,
Tylko ciągle płakała:
Mój zielony dzban,
Stłukł-ci mi go pan!“

Niestety, nie mogę ukryć, że powodem owego płaczu byłem ja, a raczej znów ten mój nieszczęśliwy odcinek o matkach chrześcijańskich. Ja to stłukłem ów zielony dzban, pełen słodkiej wody wzajemnej adoracyi; ale czyż ja wiedziałem, że jeżeli matki chrześcijańskie cokolwiek

czynią lub nie, to tylko dla dusznego ich zbawienia? Nie wiedziałem! *Mea culpa!* za którą żałuję tu nawet — w Ameryce.

Nie więc dziwnego, że wobec takiego stanu rzeczy, i w owym piśmie, które zacząłem czytać wspomnionego poranku w redakcyi, znalazłem także artykuł, który był względem mnie mniej więcej tem, czem jest przysłowiowa koza względem pochyłego drzewa. Autor największej (co do liczby stronic) powieści polskiej spojrzal w owym artykule *à vol d'oiseau* na społeczeństwo i rozplakał się rzewnie; potem siadłszy w swą łódkę pasterską, zeglował po falach własnych łez ku opinii publicznej, i zezując jednym okiem na Prusa, drugim na mnie, wołał na ludzi, że koniec świata jest blizki, że apokaliptyczne potwory zaczęły nie tylko chodzić po świecie, ale i pisywać odcinki, i że on pierwszy przepowiada to w swem piśmie, którego prenumerata wynosi w Warszawie tyle a tyle, na prowincyi tyle a tyle, kwartalnie tyle a tyle, miesięcznie tyle, etc.

Nie jestem jeszcze tak zepsuty, abym nie miał żałować za grzechy; przejęła więc mię skrucha, i począłem robić rachunek sumienia za siebie i za mego kolegę Prusa.

Ach! lista grzechów naszych była długa, jak «Bakalarze» Adama Pługa. Namawialiśmy ludzi do zakładania straży ogniowych, szkólek, ochronek, jedwabnictwa, muzeów, resurs rzemieślniczych, ogrodów zoologicznych, spółek, banków, regulowania brzegów Wisły, do asenizacyi, kanalizacyi, giełd zbożowych. Nie dawaliśmy nikomu spokoju, jeździliśmy po komitetach, wołaliśmy o drogi bite; napadaliśmy na niewinne pograniczne spekulacye z okowitą, tak, jak gdyby system wolnego handlu nie był wyższy od celnego; nie dawaliśmy ani chwili odpoczynku zalegającym w opłatach członkom rozmaitych towarzystw, jak gdyby godziło się marnować grosz ciężko zapracowany na Bóg wie jakie niepewne cele. Słowem, daliśmy się we znaki najspokojniejszym obywatelom naszego kraju, obywatelom, którzy są hamulcem, nie pozwalającym, aby wóz społeczny stoczył się w przepaść, hamulcem tak nawet silnym, że wóz społeczny nie tylko nie druzgocze się w kawalki po nieznanym drogach, ale stoi w miejscu, jak gdyby na cześć i chwałę komitetu szosowego zagrzązł w błocie na szosie pod Warszawą.

Rozmyślałem tak tedy długo, a żal coraz większy i coraz większa skrucha ogarniała moje

serce, gdy nagle usłyszałem swoje nazwisko, wymówione w przedpokoju redakcyjnym. Ktoś pytał się woźnego, czy może widzieć się ze mną.

— Wielki Boże! — pomyślałem sobie. — To zapewne Chevalier Zielonogłowski ze «szpadą ojców swoich».

I zdjął mnie strach przed «szpadą ojców» kawalera Zielonogłowskiego. — Co to będzie? co to będzie? — pytałem się sam siebie.

Tymczasem drzwi otworzyły się. Do redakcyi wszedł jakiś dżentelman, mający koło sześciu stóp wzrostu, ze wspaniałą jasną brodą.

— Czy z panem Litwosem mam honor mówić? — spytał niskim basowym głosem, który przypominał mi ryk lwa.

— Czemu panu mogę służyć? — odpowiedziałem z uprzejmym pośpiechem, robiąc rękoma z tyłu rozpaczne wysilenia, aby dostać się do laski stojącej w kącie, która jak na złość zsunęła się właśnie na ziemię.

— Czy to pan pisuje «Chwilę obecną?»

«Stało się!» — pomyślałem.

— To jest... właściwie... Bo to widzi pan, czasami reporterowie przynoszą mi mylne fakta... Ale z kimże mam honor?

— Jestem X. z Poznańskiego.

Odetchnąłem, albowiem nigdy nie nie pisałem o Poznańskim.

— A więc pan z Poznańskiego?

— Tak, panie.

— Ach! to właśnie cieszy mnie niewymownie.

— Widzę, że pan nie bardzo kocha Warszawiaków.

— Owszem, panie. Tylko bez wzajemności.

— Otóż przyszedłem spytać, czy panowie macie jakie stosunki z Ameryką?

— Nie mogę panu ukryć, — odpowiedziałem ze spuszczonei oczyma — że nasza gazeta liczy tam kilka tysięcy prenumeratorów...

— Aż tylu?

— O, tak! między innemi prezydent Grant pilnie studjuje naszą politykę.

— Nie chodzi mi o tak wysokie stosunki. Ja, panie, wyjeżdżam do Stanów Zjednoczonych pojutrze, i chciałbym od panów dostać list do pana Horaina. Czy pan zna pana Horaina?

— Oh! doskonale... Od trzech lat.

Mówiąc nawiasem, czytałem wszystkie listy pana Horaina, ale jego samego nie widziałem nigdy w życiu.

— Więc pan go zna od trzech lat? Ależ

mnie się zdaje, że on od czterech lat mieszka w Ameryce?

— Omyliłem się: znam go od sześciu lat.

— Owoż prosiłbym panów o list do niego. Ja chcę tam kupić kawał gruntu i osiedlić się. Moja żona słaba, potrzebuje ciepłego klimatu, a tam slysze ciepło.

— Jak gdzie. Ale przecież i we Włoszoch ciepło.

— Ciepło, ale drogo; tymczasem tam, slysze, ziemię darmo dają, tylko trzeba się strzedz, żeby nie okpili, bo to chytry naród. Owoż pan Horain, jako człowiek miejscowy, pomoże mi i powie komu ufać, komu nie. A przytem i ja się z nim potrafię rozmówić, bo to ja po angielsku... jakoś nie ten... tego...

— Dobrze. Damy panu listy do pana Horaina.

— A pan sam się na wystawę nie wybierze?

— Ja? poczekaj-no pan... jesszczem się nad tem nie zastanowił... Zaraz... Wybiorę się, nie wybiorę, wybiorę, nie wybiorę... wybiorę... Tak jest! jadę, panie.

— A to pan jedź teraz ze mną: będzie nam obudwom raźniej.

— A która teraz godzina?

— Samo południe.

— O drugiej jadam obiad, mam więc dwie godziny czasu do namysłu. Przyjdź pan na obiad, będę zdecydowany.

— Dobrze. Żegnam pana!

— Kląnam się panu serdecznie. Pani dobrodziejce moje uszanowanie!

Zostałem sam.

Godzina pierwsza po południu uderzyła na naszym zakatarzonym zegarze, a ja, siedząc na tem samem miejscu, rozmyślałem jeszcze: jechać, czy nie jechać? — jak Hamlet nad swoim: »być, czy nie być.« Ale jeżeli nie pojedę, cóż będę robił? Będę pisywał po nocach?... Ależ i w Ameryce mogę pisywać także. Co większa, doktor zalecił mi, żebym nie pisywał po nocach; a ponieważ w Ameryce właśnie wtedy wypada noc, kiedy u nas dzień, zatem pisywać w Ameryce w nocy jest to pisywać w Europie we dnie, czyli: jechać do Ameryki jest to wypełnić polecenie swego doktora.

Dalej: jeśli pojedę, nie będę robił korekty własnych utworów, czyli nie będę ich czytywał... To także coś znaczy.

Nakoniec: co mi tu pozostaje w Warszawie? Ożenić się? »Ach! na piramidzie, raz odebrałem list, że za mąż idzie!« A przytem ów „*un petit*

cri^a zranionego gołębia, który wydaje hrabianka Pipi na widok mego nazwiska, odebrał mi wszelką nadzieję. Zresztą aplikowałem ja, biedny człowiek, o urząd i rangę męża dość długo; lecz cóż? Ofiarowywano mi czasem małe gratyfikacye, na stały jednak etat nigdy przyjść nie mogłem. Nie! to nie dla mnie, zwłaszcza po owym ostatnim przeklętym odcinku, po którym, na samo wspomnienie o mnie, wszystkie matki z bractwa przejmuje całkiem pozaświatowy dreszcz zgrozy, jak na wspomnienie węża, który namawiał Ewę, żeby ściągnęła rękę, urwała jabłko i sama jadła i dała mężowi swemu.

Mój Boże! czyż ja kiedykolwiek w życiu namawiałem jaką Ewę, aby urwała jabłko i sama jadła, a zwłaszcza aby dała mężowi swemu! Ale stało się. Czynów dokonanych, z progu przeszłości, jak mówi Deotyma, sam Bóg nie odwoła. Stało się. Nie ożenię się nigdy.

Ergo, cóż mi więcej pozostaje?

Majątek? nie zrobię go nigdy. Długi? narobiłem ich już. To ostatnie wspomnienie zdecydowało mnie. Eh! co tam! jadę do Ameryki.

W każdym razie, przecie nie wyjeżdżam na zawsze. Zobaczę morza, stepy, miasta, kraje, nowych ludzi, czerwonoskórych Indyan, stada

dzikich bawołów, niedźwiedzie, jaguary, amerykańskie humbugi, a przytem może jaka miss jasnowłosa... Wbrew opinii ogólnej, zawsze utrzymywałem, że jestem przystojny.

O godzinie drugiej poszedłem na obiad. Nowy mój znajomy czekał już na mnie.

— No, i cóżeś pan postanowił?

— Postanowiłem zjeść obiad.

— A potem?

— Potem udać się do gospodarza domu, aby wydał świadectwo pasportowe, że przeciw memu wyjazdowi nie zachodzą żadne przeszkody; następnie podać się o pasport, uzyskać zaświadczenie, że całe życie byłem spokojnym safandulą, który płaciłby najregularniej podatki, gdyby posiadał jaką nieruchomość, i który, prócz pewnych, dość zresztą hałaśliwych zajść z gospodarzem domu, nie miał żadnych innych, że choćby jeszcze i dlatego, że jest nieżonaty.

— A czy pan uzyszcze pasport na czas?

— Pewno nie. W takim razie czekaj pan na mnie.

— Dobrze, ale w Bremie.

Po tej rozmowie, tego samego dnia jeszcze począłem robić starania o pasport. Człowiek, który wyjeżdża do Ameryki, jest jeszcze u nas

rzadkością. Wyobrażam sobie nawet, że po powrocie, w powiecie Łukowskim, z którym łączą mnie liczne stosunki, przynajmniej przez miesiąc będą mnie uważali za rodzaj powiatowego Ferdynanda Korteza. Mój dziad nieboszczyk, Panie świeć nad jego duszą, raz jeden tylko za dni swych był w Puławach, a raz w Królewcu, i miał o czem opowiadać przez całe życie. Dziś minęły te piękne dni Aranjezu; ale Ameryka ma jeszcze swój urok, dlatego po biurach patrzano na mnie, jak na jakiś osobliwszy okaz zoologiczny; miejscami zaś zadawano mi nawet pytania, świadczące, że geografia należy u nas do nauk najbardziej rozpowszechnionych.

— To, panie, przez morze się jedzie do Ameryki?

— Zdaje mi się; wiem, że kolej jeszcze nie-skończona.

Dzięki Ameryce i dzięki szczególniejszemu interesowi, jaki ta część świata budzi w naszych władzach municypalnych, uzyskałem pasport dość prędko. Pozostawało go tylko zawizować u konsula.

— Nie potrzeba — mówił mi jeden z moich przyjaciół.

Ale ja nie zaniechałem zamiaru. Jak to,

jażbym miał pozbawiać konsulat przyjemności zawizowania może pierwszego i ostatniego pasportu? miałbym mu stawać na przeszkodzie w wypełnieniu jedynej może czynności urzędowej? Wiedziałem wprawdzie, że za wizę trzeba płacić, ale wiedziałem również, że gdybym się bardzo uparł, to jeszcze konsulat byłby mi dopłacił za rzadką sposobność, jakiej mu dostarczyłem.

Udałem się tedy do konsula, którego szczęśliwie zastałem w biurze.

— Mego sekretarza niema, — rzekł mi — zechciej pan potrudzić się po trzeciej.

Schowałem pasport do kieszeni.

— Nie mogę — odpowiedziałem. — Wyjeżdżam o drugiej; muszę się tedy obejść bez wizy.

Mój interlokutor zbladł.

Pierwsza wiza dla konsula—to tak, jak pierwsza długa suknia dla podlotka, jak pierwszy meszek nad ustami dla młodzieńca, jak pierwszy drukowany artykuł dla literackiego embryona, jak pierwsze szlify dla podoficera, jak pierwszy pocałunek i pierwsze »kocham cię« dla pensyonarki.

A tu sposobność owej pierwszej wizy była i mogła przeminać, może na zawsze!

— Panie, — rzekł mi więc konsul — nie będę czekał na sekretarza, niech go tam dyabli wezmą; dawaj pan pasport, zawizuję sam, byle prędzej.

Dalem więc pasport.

Interlokutor mój wyciągnął z biurka ogromną szufladę i wy dobył z niej takie mnóstwo pieczęci, puszek z farbą, opłatków, laków, że wystarczyłoby tego dla zawizowania wszystkich pasportów z całych Stanów Zjednoczonych.

Ale każdy debiut ma swoje strony rozkoszne, ma jednak i przykre. Nieraz, gdy dwóch chłopców bawi się w woźnicę i w konia, woźnica nie umie powozić, koń musi go uczyć. Po niejakiem chwili, konsul począł się namyślać i drapać w głowę.

— Panu o prostą wizę chodzi? — spytał.

— Tak, byle w dobrym gatunku.

— Hm!.. Dyabli nadali tyle tych pieczęci.

— Palnij pan pierwszą lepszą.

— Ale to trzeba na końcu pasportu?

— Najlepiej trzymać się środka. W Stanach Zjednoczonych są tylko dwie partye: demokra-

tyczna i republikańska, a niema trzeciej, dla tego jest źle.

— A tak! tak!

— A pan do jakiej partji należy? — spytałem znienacka.

— Ja?.. tego... jakże się nazywa?.. Mam przecie gdzieś zapisane, ale na pamięć...

— A cóż, wiza skończona?

— Zaraz, zaraz. Dyab... nadali te pieczęcie! E! wie pan co? kropniemy największą, 'zawsze to nie zawadzi.

— Kropnijmy największą.

Konsul wydobył z szuflady coś naksztalt tarana do zabijania palów w Wiśle.

— A toż to prześcieradło możnaby tem zawizować! — rzekłem.

— To nic, poradzimy... O, dla Boga, a to istotnie ciężkie!

— Może panu pomódz? Raz, dwa, trzy... Hoop! siup!

Rozlegl się głuchy łoskot stołu, na który padła pieczęć. Zdawało się, że mój pasport krzyknął: »O Jezu!« Schowałem go do kieszeni i wyszedłem.

Była godzina dwunasta w południe, o wpół do trzeciej miałem wyruszyć, ale przedtem mu-

siałem iść na pożegnalny obiad, który za grosz wdowi wyprawiła dla mnie brać literacka. Wyznaję, że co do tego obiadu miałem pewne obawy. Chodziło mi o to, czy dobre serca koleżeńskie nie będą mnie kanonizowały na wielkiego człowieka, i czy nie będzie czasem takich mówek, jak ta, którą raz słyszałem na cześć pewnego literata, przybyłego z Poznania, a której początek podaję:

»Panowie! Nie myślcie, żebym tu w gronie kolegów chciał mówić o Platonie lub Heraklicie. Nie wspomnę także o Nabuchodonozorze, ale... Co to ja chciałem mówić?.. (Brawo!) ale od czasu, jak te wieki okryte pleśnią wieków... (Głos z prawej strony: »było już o wiekach!«). Mówca: Ja panu nie przeszkadzam, kiedy pan mówisz! O czym to mówiłem? Aha! o pleśni wieków!.. Kiedy więc Plato już powiedział... że tego... panie... właśnie! nic więc dziwnego, że wniosę toast za zdrowie Platona... nie! Chciałem powiedzieć: kolegi naszego Teodora, który... panowie! który... panowie! który... panowie!.. To właśnie, co chciałem wyrazić...« (Brawo! brawo!).

Oczywista rzecz, że gdybym ja był panem Teodorem, przestraszony własną wielkością, rozum mój nie zdobyłby się na równie wymowną

odpowiedź i dowiodłbym swoim kolegom, że gorszym jeszcze jestem mówcą, niż literatem. Na szczęście jednak, na owym obiedzie, o którym wspominałem, więcej było wina, niż mów; skutkiem czego, kiedym jechał po obiedzie na dworzec kolejowy, świat wydał mi się bardzo pięknym zjawiskiem, Warszawa najczystsza i najporządniejsza miastem na świecie, kobiety szalenie ładne, bruki nadzwyczajnie wygodne, i gdyby nie przykre zajście, jakie miałem z własną torbą podróżną, wiszącą mi przez plecy, chwile owe policzyłbym do najpiękniejszych w moim życiu.

Ale zajście to z własną torbą popsuło mi trochę humor. Wiedziałem, że torba wisi na mnie i że jej nie zgubił, trzeba jednak było, że gdym chciał wydobyć z niej pieniądze i przechyliłem się na lewą stronę, moja torba uciekła mi na prawą, gdy ja na prawą — moja torba na lewą. Gonić kogoś na własnych plecach jest fizycznym niepodobieństwem, dlatego opuściłem ręce i myślałem sobie: »Stało się! nie pojedę do Ameryki.« Szczęściem, dobre dusze pomogły mi i w tym kłopotcie.

Wsiadłem wreszcie do wagonu, lokomotywa świsnęła, i wkrótce przez mgłę i dym tylko wi-

działem kochane twarze, goniące mnie spojrzenia i ręce, powiewające chustkami.

Pogoda była piękna; jakkolwiek luty jeszcze, czuć było w powietrzu oddech wiosenny. Wkrótce w wagonach zrobiło się tak gorąco, że niepodobna było wysiedzieć.

Wagony nasze, jak wiadomo, ogrzewane są od spodu siedzeń, skutkiem czego zdawało mi się niekiedy, że jestem imbrykiem, siedzącym na samowarze.

— Ciepło, panie, co? — rzekł do mnie nader okrągły staruszek, jedyny mój towarzysz w wagonie, który, nie mogąc wytrzymać, unosił się ciągle na siedzeniu.

— O, ciepło!

— Pewno rozboli mnie głowa?

— Głowa? A to już chyba *par esprit de contradiction* — odparłem.

W Aleksandrowie zrobiła się noc, a wkrótce stała się tak ciemną, jak zakład p. Łojki w Warszawie, lub jak styl jednego z moich przyjaciół, którego nazwiska nie wymieniam, bo nie lubię nikogo chwalić w oczy. Towarzysz mój zasnął i sapał jak gumowa poduszka, nadymana powietrzem, z której ktoś ję wypuszcza. Ja usnąłem także, marząc o Warszawie i o tych, których

w niej zostawiłem; usnąłem zaś tak dobrze, że obudziłem się dopiero w Toruniu, gdzie rewidują wagony.

— Pan ma parę nowych butów — rzekł do mnie pruski urzędnik celny.

— Czy pan chciałeś, żeby wszyscy u nas w dziurawych już chodzili? — odpowiedziałem.

Niemiec pomyślał trochę. Może pomyślał: »Przyjdzie czas i na to« — i zamknął mój kufer.

Wróciłem do wagonu, i usnąwszy znowu, spałem aż do rana, t. j. aż do przybycia do Berlina.

Ranek był, dopiero świtanie. Na ulicach pustki. Tu i owdzie widać było wózki ciągnięte przez psy, które mimo tego, że spotykają się ciągle, nie pomijają żadnej sposobności, aby oburzyć się wzajem na siebie nadzwyczajnie. Ogromne miasto, znane mi już zresztą, nawpół uśpione jeszcze, migало w różanych blaskach zorzy przed memi oczyma. Przejechałem ze wschodniego dworca na Lehrter Bahn. Było blisko dwie godziny czasu do odejścia pociągu, wyszedłem więc przed dworzec i począłem rozglądać się na wszystkie strony. Zdaleka widziałem snujące się tu i owdzie małe oddziały żołnierzy

w hełmach ze złoconemi ostrzami, spokojnych i surowych, jak dawni legioniści rzymscy. Patrząc na kroki miarowe i jednostajne, na mechaniczne poruszenia ich rąk i nóg, możnaby wziąć ich za maszyny bezwłasnowolne, ponakręcane jednym kluczem. Jakoż i są to maszyny, dla których kluczem i motorem jest wola wyższa, nieodgadniona nigdy, groźna, chmurna, kryjąca w fałdach togi wojnę i pożogę.

Na prawo błyszczał w promieniach wschodzącego słońca posąg Zwycięstwa, ciężki, niezgrabny, trywialny, podobny do wrony, która usiadła wypadkiem na słupie w Berlinie i gotuje się odlecieć.

Czy odleci i dokąd odleci?

Dwie godziny minęły szybko. Siadłem znowu do wagonu. Miałem jechać nie do Bremy, lecz do Kolonii. Rozejrzałem się w wagonie: ani jednej ładnej kobiety; siedziało tylko kilku Niemców z twarzami mniej więcej głupimi, nabrzękłemi piwem, i jakiś obcy jegomość.

Pociąg, którym jechałem, nie dochodzi do samej Kolonii, ale zatrzymuje się w Deutz, z prawej strony Renu. Przyjechaliśmy o godzinie dziewiątej wieczorem. Byłem trochę zmęczony, więc udałem się do hotelu *Belle-Vue*

i kazałem dać sobie numer. Kelner zaprowadził mnie na drugie piętro i wskazał mi stancję, w której miałem noc przepędzić. Nim zapalił światło, zbliżyłem się do okna i podniosłem roletę, aby spojrzeć na leżącą na drugim brzegu Kolonię.

Spojrzawszy, poleciłem kelnerowi nie zapalać światła i zostawić mnie samego.

Przepyszny widok! Noc była śliczna, pogodna. Księżyc świecił tak jasno, że nieledwie czytaćby można przy potokach srebrnego światła. Pod nogami moimi płynął Ren. Długie smugi światła odbijały się w przezroczej toni na drugim brzegu. Bliżej, mały parowiec sypał deszczem złotych iskier. Cała Kolonia widna była jak na dłoni: światła, spiętrzone grupy domów, ciemne sylwetki kominów, a nad wszystkim tem wspaniała katedra, górująca nietylko wieżami, ale i sklepieniem nad całem miastem, wyniosła, spokojna, urocza i milcząca.

Największe gmachy miejskie wydały mi się wobec niej lepiankami, tulącemi się niby pod skrzydła potężnej matki. Księżyc oświecał jasno wysmukłe wiązania tej prawdziwej gotyckiej architektury; cienie łamały się ze światłem na lukach i wieżyczkach. Było w tem wszystkim

coś mistycznego, coś, co przejmuje duszę tajemniczym dreszczem i wyobraźni przyprawia skrzydła. Uczucia religijne, wessane z mlekiem matki, choćby najbardziej nawet rozproszone w zgiełkowej pogoni życia, odnajdują się na widok tego gmachu, oblanego światłem księżyca, jak pogubione perły. Nie są to łagodne i słodkie poruszenia serca, niby jakieś wewnętrzne głosy anielskie, budzące wspomnienia dzieciństwa, jakich doświadcza się naprzykład w naszych kościołach wiejskich w czasie nieszporów, kiedy siwy pleban czyta modlitwy litanii, chłopi odpowiadają mu chórem, jaskółki świegocą pod drewnianem sklepieniem, a brzoza cmentarna, poruszana wiatrem, szeleści i dzwoni w okna. Wobec tego urocznego gmachu, wobec tych spiętrzonych jak góry sklepień, nie czujesz się zbląkanem i zmęczonem dzieckiem wobec ojca, ale prochem wobec Majestatu. Mimowoli przychodzi ci na myśl, że niemasz tu miejsca na inne modlitwy, chyba na pieśń suplikacyjną: »Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny!« Kościół wart pieśni, a pieśń kościoła. Średnie wieki z ich wiarą posepną, a stanowiącą chleb ówczesnego żywota, szeregi rycerzy w stal zakuty, owych groźnych drapieźników

z nadreńskich burgów, zmartwychpowstają przed twemi oczyma. Słyszysz, jak biskup w całym majestacie głosi *gloriam Dei*, a dumne żelazne głowy tych samych Arnsbergów, którzy dziś śpią kamiennym snem w kościelnej nawie, kora się i chyla przed jednym słowem, jak łany zbożowe pod wiatrem. Dziś to już wszystko minęło, ale zadumany wędrowiec, patrząc na milczące owych wieków pamiątki, mimowoli pyta siebie: czy to wszystko, co wykołysało całe narody, utworzyło całą cywilizację, co było źródłem i osią całego żywota, — czy to wszystko rzeczywiście nie jest niczem więcej, tylko olbrzymim zabobnem, drugim smutnem stadyum iluzji, jak mówi Hartman, stadyum, które dla tego tylko minęło, ażeby się zaczęło trzecie?

Nie wiem, czy nie pod wpływem tych samych myśli ktoś powiedział, że gdyby nawet Bóg rzeczywiście nie istniał, trzebaby było dla dobra ludzkości Go stworzyć.

Godzina czasu spłynęła mi w przeszłość na podobnych rozmyślaniach. Tymczasem wieczór stawał się coraz bardziej romantyczny. Parowiec przybił do brzegu tuż pod oknami mego hotelu. W całym Deutz cicho było, bo całe miasto już spało. Tylko sternik, siedzący na

przodzie statku, śpiewał dość pięknym głosem: „*Wacht am Rhein*“, a od strony Kolonii dochodził uszu moich świst lokomotywy. Niekiedy lekki wiatr przynosił zaledwie dosłyszalne odgłosy zgiełku i gwaru miejskiego. Żał mi było wstawać od okna; nagle jednak drzwi się otworzyły, i ktoś wszedł do mego pokoju.

Był to mój towarzysz podróży.

— Dobry wieczór!

— I dobry, i ładny.

— Przyszedłem spytać: czyby pan nie chciał przejść się po mieście?

— Nie, panie. Spodziewam się, że lada chwila nadejdzie tu ktoś, z kim może jeszcze dziś pojedę dalej. A zresztą dobrze mi tu przy oknie.

— Ach! pan patrzy na katedrę.

To mówiąc, towarzysz mój zbliżył się do okna i spojrzał w stronę miasta. Księżyc oświecił jasno twarz jego. Zdawało mi się, że czytam całe szeregi myśli i marzeń na jego czole; jakoż po chwili pokiwał głową i rzekł:

— Wie pan co?

— Co? — spytałem, ciekawy jego wrażeń.

— Ot, ja myślę, czybyśmy się koniaku nie napili. Wieczór chłodny.

Mimowoli przyszedł mi na myśl wierszyk,

który kilkanaście lat temu powtarzał mój profesor łaciny, gdy mimo usiłowań z jego strony, woleliśmy dawać sobie prztyki w uszy, niż zachwycać się pięknosciami Horacyusza:

„Cóż po muzyce tępym osłom w stajni!
Graj im na lutni: tańczyć nie zwyczajni.“

Swoją drogą tak trzeźwy, lubo mający związek z koniakiem, pogład okielznał rozbieganą moją wyobraźnię.

— Dziękuję za koniak — odpowiedziałem; — uważam jednak, że pan zdrowo na rzeczy patrzy, i winszuję panu tego szczerze.

— A cóż to? — odrzekł, wskazując oblaną światłem księżycą katedrę: — martwy kapitał i nic więcej!

— Przyjm pan moje gorące uznanie i zarazem dobranoc panu!

Zostałem znowu sam, ale po chwili wszedł ów dżentelmen z jasną brodą, z którym według pierwotnego planu miałem się zjechać w Bremie.

Wyznaję, że byłem trochę zmęczony, przejechawszy bez wytchnienia drogę z Warszawy do Kolonii, i miałem szczerą chęć przenocowania w Deutz. Bylbym nawet objawił głośno tę chęć mojemu dżentelmenowi, ale on, domyślając

się widocznie o co idzie, uprzedził mnie i rzekł ironicznie:

— Pan już pewno ani ręką, ani nogą nie może ruszyć. Takie to dzisiejsze pokolenie! Co do mnie, jechałbym chętnie dalej.

Oburzona miłość własna odezwała się we mnie:

— A dokądby pan chciał jeszcze dojechać?

-- Hm! choćby do Brukselli.

— Ja zaś oświadczam panu, że jadę wprost do Londynu.

Wyznaję, iż mówiąc to, miałem w duszy trochę nadziei, że mój dżentelmen nie zgodzi się na tę propozycję. Myślałem, że go nią przerażę, że zacznie mi tłumaczyć, iż to zbyt daleko, i że obaj zbyt mocno się pomęczymy; ale ten okropny człowiek uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Doskonale. Jedziemy więc do Londynu.

Nie było rady. Kazałem zabrać moje kufry, i obaj udaliśmy się na centralny dworzec w Kolonii. Była już prawie północ; chciało mi się spać srodze, ale ruch panujący na dworcu wytrzeźwił mnie. Lubię ten ruch, gwar i wrzawę, panującą na wielkich dworcach kolejowych. Sale płonęły światłem; stoły były nakryte. Z zewnątrz dochodził nas świst i sapanie lokomotyw,

pomieszane z odgłosem dzwonek i nawoływaniem konduktorów. Ludzie biegali na wszystkie strony, przenosząc kufry, pakunki. Przejeżdżający wołali wszystkimi językami na garsonów. Siedzący obok nas jakiś Anglik z wyciągniętą twarzą i wyciągniętymi nogami, badał starannie palcami wnętrze swego nosa, spoglądając przytem na ludzi, tak, jak gdyby wszyscy wyłącznie po to byli zebrani, ażeby on miał się czemu przypatrywać.

Kazaliśmy podać sobie coś do zjedzenia. Zauważyłem wówczas pierwszy raz, że nasze palone buty, futrzane szuby i baranie czapki poczynają nam zjednywać popularność. Małe grupki ludzi przyglądały się nam ciekawie. Brano nas widocznie za hercogowińskich posłów, wysłanych o pomoc przeciw Turkom. Skutkiem współczucia zapewne dla nieszczęśliwych męczenników tureckich, kazano nam płacić za wszystko dwa razy więcej, niż się należało.

Wsiedliśmy wreszcie do wagonu. Wkrótce jadący z nami do Brukselli jakiś Francuz począł nas wypytywać o pochodzenie.

— Jesteśmy Polacy — odpowiedziałem.

Tu przysłowiowa francuska znajomość geografii zablysnęła z całą świetnością:

— Ach! to panowie tam blisko placu wojny!—
rzekł.

— Jakiej wojny?

— Jakże się nazywa?... Hercegowiny i Turcyi.

— O! bardzo blisko, panie: tylko przez
ścianę. Jak się biją, to u nas doskonale strzały
słychać.

— *Tiens!*

Potem wpadliśmy w ocean wielkiej polityki,
wpadliśmy zaś tak głęboko, żeśmy żadną miarą
nie mogli dostać się do brzegu. Swoją drogą,
niespełna w pół godziny zmieniliśmy całkowicie
kartę Europy. Nasz Francuz zaś porobił takie
podboje w Prusiech, że musieliśmy wstawiać
się za biednymi Niemcami, żeby im chociaż
Berlin zostawił.

— *Non, messieurs! non!* — odpowiedział, nie
dając się uprosić.

Zaanektowawszy tedy i Berlin, wzięwszy
do niewoli Bismarcka i przeznaczwszy mu na
dożywotnie więzienie wyspę Oleron, strudzony
tylu wojennymi czynami, nasz Francuz zwinął
się w kłębek około własnego środka, a raczej
zamknął się jak scyzoryk o dwóch ostrzach,
jak mówi Prus, i usnął, a my poszliśmy za jego
przykładem.

Ale tu mój towarzysz odkrył widocznie nowy sposób zjednywania sobie popularności, to jest począł chrapać po mazowiecku tak, że wszyscy, rozbudziwszy się, pytali przerażeni: co się stało?

— *Mon Dieu! qu'est-ce que ça veut dire?* — pytał Francuz, wytrzeszczywszy ogromne oczy.

— E, to nic! — odpowiedziałem spokojnie: — *on dort chez nous comme cela.*

Tymczasem mój towarzysz, z otwartemi ustami, z głową niżej od nóg, świszczwał, ryczał, sapał, rżał, gwizdał — słowem: wydobywał z siebie takie nadludzkie, tak fantastyczne, a nagle i niespodziewane odgłosy, że i mnie samego, jakkolwiek słyszałem już nieraz, jak nasza szlachta chrapie, zaczęło ogarniać zdziwienie.

Wkrótce też zauważyłem, że wagon nasz stawał się coraz pustszy. Co stacya, jaki taki zabierał swoje manatki i wynosił się do innych przedziałów. Na granicy belgijskiej było nas już tylko dwóch. Pociąg zatrzymał się. Do wagonu wszedł już nie mrukliwy pruski konduktor, ale Belgijczyk, ubrany w czarne kepi, i poprosił nas po francusku, ażebyśmy się udali do rewizyi rzeczy.

— Co to jest? — pytał rozbudzony mój towarzysz, wodząc na wszystkie strony oczyma.

— Granica belgijska, rewizya.

— Zdaje mi się, żem się trochę zdrzymnął.

— Bardzo niewiele!

— A gdzież się reszta podróżnych podziała? Oparłem rękę na jego ramieniu:

— *Galilee, vicisti!* żaden nie dotrzymał placu.

Wszyscy drapnęli.

Rewizya zajęła nam bardzo niewiele czasu. Zjedliśmy wieczerzę, wypili po pół butelki wina i ruszyli dalej. Dzień już robił się dobry, gdy zbliżaliśmy się do Brukselli. Śliczne to miasto, po Paryżu najpiękniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem; otoczone wzgórzami, pokrytymi lasem, i cudnymi dolinami, otrząsało z siebie białawe tumany nocy i z mgły wywijalo się, skąpane w różowem świetle i niby uśmiechnięte po dobrej nocy i dobrym śnie. Po ciągu wreszcie stanął. Znowu mieliśmy trzy godziny czasu, wyszedłem więc na miasto, aby odświeżyć wspomnienia z przed dwóch lat, kiedy byłem w Ostendzie.

Na ulicach panował już ruch. Flamandki, siedzące na małych wózkach, wiozły do miasta mleczywo, a twarze ich spokojne i uczciwe

zdawały się do mnie uśmiechać. Domy jednak były jeszcze ciche, rolety w oknach pozapuszczane, zlocenia na gzymsach domów połyskiwały łagodnie w porannem świetle. Wszystko było spokojne, schludne, harmonijne, ciche, szczęśliwe jakieś, a wszystko pamiątkowe i poetyczne. Z każdego złomu murów, z każdego kąta wieje tu na ciebie tradycya poważna, wielka, pouczająca bardzo. Myślisz, że to sen dawny, a ogromny i złowróbny niegdyś, który jakaś moc czarno-księska zakłęła, tak, że skamieniał i patrzy teraz na ciebie szarymi murami Św. Guduli, i kamiennymi oczyma pomnika Egmonta, i wieżami wszystkich zabytków z hiszpańskich czasów. Ale istotnie to sen tylko. Czasy Alby minęły i nie wrócą nigdy. Topór nie uderza tu już glucho o deski rusztowania, nie usłyszysz, jak syczą płomienie stosów lub brzmiały okrzyki wojenne; usłyszysz tylko odgłos pracy i pokoju, bo ta błogosławiona para oddawna stała tu sobie obrała siedlisko.

Bywa, że kiedy w pogodne letnie wieczory taka cisza robi się w spokojnych wioskach flandryjskich, iż żaden listek nie zaszemrze na drzewie, wówczas starcy odkrywają posrebrzone głowy i mówią: »To Chrystus przechadza się

po wiosce.« Otóż, jak Belgia długa i szeroka, wszędzie tak jest spokojnie, tak jakoś cicho i szczęśliwie, że słusznie możnaby powiedzieć: Chrystus przechadza się po całym kraju. Bez przesady mówiąc, jest to najszczęśliwszy kraj na świecie.

Jest nim przynajmniej dotychczas, ale któż może powiedzieć, jak długo będzie? Może za kilka lat nadejdą czasy, że śpiczaste hełmy nadciągną tu od strony Renu, spokojni dziś mieszkańcy będą słyszeli rżenia »konia Attyli«, po nocach huk armat wystraszy słowiki z wiosek, skończą się przechadzki Chrystusa, a zamiast dzisiejszych pieśni przy pracy, zabrzmieni inna, która zmaćla spokój równie szczęśliwej Alzacyi: „*Was ist des Deutschen Vaterland?*“

Trzy godziny czasu przeleciały mi na podobnych rozmyślaniach, według słów Skargi: »jak strzała i jako ptak na powietrzu.« Czas było wracać na pociąg, ale nie mogłem się oprzeć jeszcze chęci odszukania pod murami katedry miejsca, na którem, według ślicznej powieści Ouidy: „*Deux Sabots*“, mała Bebéé sprzedawała swoje róże mszyste, poczem trochę smutny, a trochę rozmarzony wróciłem na dworzec kolejowy. Towarzysz mój stał już na plat-

formie i gorliwie pracował nad umieszczeniem w ustach ogromnego mięsnego pieroga, który z powodu swych rozmiarów żadną miarą wleźć w nie nie chciał.

Wsiadliśmy do wagonu, a wkrótce za nami wsiadł, a raczej wskoczył, pomijając schodki, jakiś dżentelmen nadzwyczajnej otyłości, stanowiącej dziwny kontrast z jego ruchami.

— Prawda, panie, że jestem lekki? — rzekł do mnie, przymrużywszy jedno oko, jakby mnie znał od lat dziesięciu.

— Jak angielski kocz — odparłem.

— Jak to kocz? — spytał cokolwiek urażony.

— No, bo lekki a pakowny.

— O! doskonale, doskonale! — odparł, spoglądając z nieopisaną sympatyą na swój wydatny żołądek. — Ja jestem nauczycielem tańca. Dwanaście lekcyi kosztuje u mnie 40 franków. Najładniejsze dziewczęta z całego Lille uczą się u mnie; lekcyje są wspólne. Panowie jadą do Lille? Oto są moje bilety: *Mr. Dunois*. We czwartki i w soboty, od szóstej do siódmej. Wszakże panowie mają te godziny wolne?

Towarzysz mój odpowiedział, że najchętniej korzystalibyśmy z uprzejmości pana Dunois, gdyby nie to, że jedziemy do Ameryki, ale że

z powrotem nie omieszkamy zatrzymać się umyślnie w Lille dla wzięcia kilkunastu lekcyi. Pan Dunois dodał jeszcze, że uczy nietylko kontredansa, ale i uprzejmej rozmowy z damami w czasie tego tańca. Potem w najlepszej zgodzie ruszyliśmy w drogę.

Pociąg ku granicy francuskiej idzie krajem równym, nie obfitującym w malownicze widoki, ale uprawnym jak ogród. Wyjeżdżając z kraju, zostawiliśmy jeszcze śnieg na polach, tu zaś wiosna poczynała się wszędzie. Na łąkach zieleń się trawa, a na polach ruń wszelkiego rodzaju zbóż. Grupy drzew, stojących na równinach lub idących w kształcie alei wzdłuż rowów, dróg i kanałów, wypuszczały zielone pączki. Rzeki powylewały wszędzie, jako zwyczajnie na wiosnę; rowami płynęła z szelestem woda, powietrze było czyste, ale przesiąknięte wiosenną wilgocią, słońce zaś przygrzewało przez szyby wagonów tak silnie, iż musieliśmy pozrzucić futra.

Gdyby nie komora, nie rewizya rzeczy i nie długi przystanek pociągu, niktby się nie domyślił, że nareszcie wjeżdża z Belgii do Francyi. Krajobraz nie zmienia się w niczem. Ten sam kraj uprawny jak ogród, te same chaty wieś-

niacze, kryte czerwoną dachówką, gontem, lub nawet słomą, ta sama Flandrya, ci sami ludzie, też poczciwe flamandzkie twarze i bluzy niebieskie; słowem, wszystko takie samo. Gdy pociąg ruszył, obróciłem się, by przesłać ostatnie pożegnanie Belgii, temu krajowi, dla którego niepodobna nie czuć sympatyj, i o którym ile razy pomyślę, tyle razy pamięć przywoździ mi słowa Skargi, których część już przytoczyłem wyżej: »Siejba była w płakaniu, ale żniwo w weselu; niedola ich minęła, jako strzała i jako ptak na powietrzu, a rozkosze, jakby morze nieprzebrane, trwają.«

Pikardya, przez którą przelatywaliśmy jakby na skrzydłach wiatru, jest krajem bogatym, żyznym, ale szczególnie fabrycznym. Patrząc na ład i dostatek, jaki widać wszędzie, niktby nie pomyślał, że sześć lat zaledwie temu uwiijały się tu tłumy żołdactwa pruskiego i uciekających do Belgii francuskich maruderów.

Do Calais przybyliśmy około dwunastej w południe. Jest to dosyć nędzne i brudne miasto, jak wreszcie większa część miast portowych; znaczenie jego handlowe jednak jest ogromne. Niegdyś odgrywało znakomitą rolę w wojnach francusko-angielskich. »Gdybyście wyjęli ze

mnie serce i otworzyli je, — mówiła, umierając, Marya Tudor — znaleźlibyście tam wypisany wyraz: »Calais.« Swoją drogą Anglia nigdy już nie odzyskała na stałe tego miasta. Dziś jest tam podobno jakaś forteca. Widzieliśmy żołnierzy francuskich w szaro-niebieskich płaszczach, w czerwonych czapkach i w czerwonych (wybaczcie, czyste dusze naszych arystokratycznych dam!) majtkach. Patrząc na te postacie małe, godne prawdziwych pigmejczyków, przygarbione, brudne, dźwigające z trudnością ciężkie szaspoty, zrozumieliśmy łatwo, dlaczego podobni żołnierze nie mogli oprzeć się roslym i silnym brandeburskim chłopom, i dlaczego np. pulki poznańskie, rzuciwszy się z bagnetem pod Gravelotte na niezdobyte prawie pozycye francuskie, nie zastały tam już nieprzyjaciela, chociaż nie powinna była z nich zostać żywa noga po ataku. Patrząc na tych żołnierzy, przykro się robi, zwłaszcza nam, mającym tyle sympatyi do tego, najsympatyczniejszego zresztą narodu.

W Calais sale dworca kolejowego roily się podróżnymi, przejeżdżającymi do Anglii. Zrobiliśmy znajomość z pewnym komiwojażerem, który, jak mówił, przepływał już przez kanał więcej razy, niż wszyscy obecni mieli włosów

na głowie. Wypytywaliśmy się go, czy spodziewa się dobrej pogody.

— Kanał na wiosnę wypija zawsze za wiele dżinu i dlatego boksuje wściekle każdego, kto po nim pływa — odpowiedział ów dżentelmen, zagłębiwszy ręce w kieszeniach.

— Ale jednak pogoda jest piękna — rzekłem, starając się wydobyć z niego jaką taką pomyślną wiadomość.

— Tak, ale są krótkie fale.

— Krótkie fale? — spytałem tonem, jakbym wiedział co są krótkie fale, gdy tymczasem nie miałem o tem najmniejszego pojęcia.

— Tak jest, — odrzekł komiwojażer, i zagłębiwszy prawie po łokcie ręce w kieszeniach, zaczął przypatrywać się końcom swych butów, gwiżdżąc przytem aryę z Balu Maskowego:

„Ach, mów, czy życzliwe czekają mnie fale!“

Inny dżentelmen, który przysłuchując się naszej rozmowie, wkładał do ust i wyjmował z nich ustawicznie gałkę swej laski, jakby dla przekonania się, czy usta jego mają dostateczny rozmiar, niezbędny w morskich podróżach, zwrócił się do mnie i rzekł dogmatycznym tonem:

— Trzeba wypić butelkę portweinu i zjeść jak najwięcej śliwek suszonych!

— Garson!—zawolałem:—butelkę portweinu i jak najwięcej śliwek suszonych.

Ale nim zdołaliśmy zjeść i wypić wszystko co nam podano, w sali zrobił się ruch i zamieszanie. Jedni chwyтали swoje kuferki, inni wylewali z filiżanek gorący rosół na spodeczki, aby wypić go jak najprędzej, i pili z wytrzeszczonymi oczyma; inni nakoniec połykali gorące mięso w kawałach, których połknięcie przyniosłoby zaszczyt najtęższym wilkom; pewna dama zbladła nadzwyczajnie i patrząc naokoło głupowatym wzrokiem, jakby szukając ratunku, powtarzała: »O, Boże! Boże!« Jakiś pan przewrócił się na progu przez własny kuferek. Wyszliśmy wreszcie na świeże powietrze; wzięto nasze rzeczy. Statek, który miał nas zawieźć do Douvru, stał tuż nad brzegiem przystani i świstał przeraźliwie, jakby dla tem dokładniejszego przerażenia podróżnych; wiatr dął, jakby to było obowiązkiem jego sumienia; ludzie niosący rzeczy krzyczeli i przeklinali, sami nie wiedząc czego; morze ryczało, jakby mu kto za to płacił: słowem, wszystko się składało na to, ażeby do reszty ogłupić podróżnych, którzy

już i tak nie wiedzieli, co się z nimi dzieje, a zwłaszcza, co się za pół godziny dzieć będzie.

Nakoniec, zszedłszy po pochyłym pomoście, weszliśmy na pokład statku. Para świstała, koła poczęły obracać się lekko i zapieniać wodę, ale statek jeszcze nie ruszał. Skorzystałem z tej chwili, aby odetchnąć trochę i spojrzeć w sinawą dal: jak okiem dojrzał, ciągnęła się wzburzona toń morska. Po chwili jakieś indywiduum ubrane w gumowy płaszcz zwróciło moją uwagę. Indywiduum to, stojąc niedaleko mnie, pograżyło nagle ogromny tytoniowy zwitek w ustach, następnie zasunęło również gumowy kaptur na głowę i wylazło po schodkach na wysoki mostek, stojący na przedzie statku i osłoniony żaglowem płótnem.

— Kto to jest? — spytałem komiwojażera.

— Kapitan... Wylazł na górę i ubrał się w swój płaszcz: hm! zły znak, będziemy mieli burzę.

— Niech pana dy... — chciałem powiedzieć: — dziękuję panu ślicznie.

Nie był to jednak jedyny i ostatni zły znak. Wkrótce spostrzegłem jeszcze gorszy: oto z pod pokładu wydobył się majtek, niosąc w obu rękach

kach białe fajansowe miski, które zaczął tu i owdzie rozstawiać na pokładzie.

— Neptunie! kupię ci dziesięć obiadów, ale tym jednym razem, pozwól zachować mi mój — rzekłem w duchu.

Nagle uczulem, że statek zakolysał się w prawo i w lewo, brzeg począł usuwać się z pod moich oczu. Ruszyliśmy w drogę.

Co się potem działo, o tem wiadomość schowam do następnych listów. Widziałem potem na oceanie podobne sceny, tylko podniesione do kwadratu, dlatego opis ich odkładam.

I.

Pobył w Londynie. Podróż do Liwerpolu.

W półtorej godziny po wyjeździe z Calais kończy się wreszcie prawdziwa męka podróżnika. Owe krótkie balwany, którym osobiście życzę, żeby nigdy nie wyrzały z dna morskiego, przestają wreszcie wstrząsać mózgiem, jak ziarnkiem grochu w grzechotce, na widnokregu zaś poczyna się rysować Douvres.

Gdym wjeżdżał do portu, było chmurno, dżdżysto, mglisto, posepnie; słowem: taki czas, w jakim najlepiej jest położyć się spać. Port był stosunkowo pusty, widok zaś pobraży przerażliwy. Białe, wysokie na kilkanaście stóp ściany, prostopadle sterczące z morza, wyglądają na tle czarnej wody, jak żałobny szlak na całunie. Istny krajobraz z piekła Dantego. Widnokrąg posepny, huk morza, jednostajne skrzywienie okrętu, żalorny jęk mew: wszystko to

przeraża, uciska i sprawia, że przedsiębiorczy wędrowiec zaczyna tęsknić do domu, do swojego kominka, do biurka, do atramentu, bibuły, do »wieczorków« u znajomych, herbatki, plotek, gier towarzyskich, do »Kuryera Warszawskiego« lub »Codziennego«, do łóżka, słowem: po całym tem życiu zwyczajnem, codziennem a lojalnem, w którem wodę warzył, bicz kręcił z piasku, pamięć dni regulował według tego, co było na zupe, ale miał własny szlafrok, pantofle, parasol i opinię statecznego człowieka między matkami, którym dokuczyło państwo córek.

I gdyby jeszcze nie deszcz, który tnie jakby różgami, możnaby przynajmniej dostroić się do złowrogiego majestatu widoku, otworzyć na rozcież duszę tragicznym wrażeniom, uznać się samemu za jaką wyjątkowo dziką naturę, za jakiegoś bohatera z opery, postawić marsa, zaśpiewać: »Niech ryczą spienione fale!« i myśleć sobie w duszy: »Chciałbym, żeby mnie teraz moi znajomi widzieli.« Człowiek byłby przynajmniej na wysokości położenia. Ale śpiewać: »Niech ryczą spienione fale« w kaloszach i pod parasolem, to już chyba żadną miarą nie idzie. Wprawdzie, kiedy u nas w Dolinie Szwajcarskiej grają marsza żuawów, nasi kantorowicze,

aplikanci, a nawet stateczni ojcowie rodzin, przejmują się nim tak dalece, że naraz poczynają nadzwyczaj wojowniczo maszerować, spoglądając przytem na wystraszone ich walecznością gąski tak złowrogo, jakby chcieli mówić: »Dałbym ja wam!« Ale ja z trudnością przejmuję się sytuacją. Nie byłem nigdy dość wrażliwy.

Nie pozostawało mi zatem nic innego, tylko zejść do kajuty i czekać aż przybijemy. W kajucie zastałem już moich towarzyszków podróży. Jeden z nich, obywatel wiejski, począł oddawać się rozmyślaniom o swoim gospodarstwie. »Ciekawym, czy tam Fikalski (zapewne ekonom) wysłał dziś ludzi do orki« — rzekł tak, jakby mnie o to chciał się pytać. Mnie jednak to mało obchodziło, czy Fikalski wysłał ludzi do orki; woląłem więc pójść do okienka i wyglądać na fale, które czasem zalewały je zupełnie.

Nie dalej może, niż o sto kroków od naszego statku, dostrzegłem dwa maszty rozbitego okrętu, huśtane falą i sterzące z wody ku niebu. Nad owymi masztami unosiły się korowody ptactwa, tłukącego z krzykiem i piskiem fale. Odlamy desek, szczątki belek i beczek unosiły się naokoło, to niknąc pod wodą, to ukazując się

znowu. Zaciekawiony, pytałem, coby to był za statek? — że zaś nikt nie umiał mnie objaśnić, musiałem więc znowu wyjść na pokład, aby dowiedzieć się od majtków.

Na pokładzie znalazłem młodego miczmana, który stał i gwizdał, otulony w gumowy płaszcz, patrząc na fale i polując na równowagę, którą, mimo iż wpływalismy do portu, trudno było utrzymać. Młody miczman dał mi wszelkie żądane objaśnienia, gadał nawet trzy razy więcej, niż przecięciowy człowiek zwykł to czynić, a nieskończenie razy więcej niż sternik, który kręcił zasepiony swoje kolo, poruszając przytem ciągle szczękami, jak gdyby należał do przeżuwających: poprostu gryzł tytuń. Owóż dowiedziałem się, że zatopiony okręt był statkiem angielskim, który w biały dzień został przebity przez pruski statek »Frankonia«. Blizko trzydziestu ludzi utonęło w tym wypadku, okręt zaś odrazu poszedł na dno, jak ołowiana kula. Kapitana »Frankonii« oddano pod sąd.

— Ja, gdybym był sprawiedliwością, — mówił do mnie miczman — kazałbym go powiesić, choćby dlatego, że to Prusak.

— Ależ, szanowny panie, jeśli to jest wy-

stępkiem, — odpowiedziałem Francuzowi — to z tego nie można się poprawić.

— Właśnie też kazalbym go powiesić, jako niepoprawnego zbrodniarza — odpowiedziała mi przez usta Francuza sprawiedliwość.

Tymczasem wplynęliśmy do portu. Z bulwarku spuszczone na burtę statku mostek, poczem ci, którzy stali na brzegu, poczęli gestykulować i wrzeszczeć przeraźliwie. Wszczął się chaos i zamieszanie. Majtkowie kleli, wyrzucając z głębi statku kufry i pakunki; kufry trzeszczały, podróżni tłoczyli się na mostku, statek sapał i świstał; zdaleka odpowiadała mu lokomotywa, jakby chciała mówić: »Jak się masz, mój chłopcze? Dziwi mnie, żeś gdzie karku nie skręcił.« Na bulwarku male chłopaki kopali się nogami i pokazywali sobie języki.

W tych warunkach wysiedliśmy na ląd. Jeden z bijących się chłopaków porzucił natychmiast blizką już zwycięstwa walkę i ofiarował mi się z pomocą w przeniesieniu kuferka do wagonu, a gdym oświadczył mu, że sam go zaniosę, wyraził życzenie, aby Bóg przeklął moją duszę (*Goddam your soul!*), i oddalił się, pokazując mi pięść. Potem wsiedliśmy do wagonu i ruszyli wprost do Londynu. Jako człowiek

przesiąkły miłością wszystkiego co swojskie, uwielbiam nie tylko nasze koleje żelazne, ale zarazem wszystkie wypadki, jakie im się zdarzają: począwszy od warszawsko-wiedeńskiego pęknięcia szyn, a skończywszy na romantyczności, z jaką przewracają się do góry nogami lub spóźniają się na czas, pociągi kolei petersburskiej. Mimo całego jednak uwielbienia, tak dla powyższych zdarzeń, jak i dla terespolskiego truchta, muszę oddać sprawiedliwość kolejom angielskim, że pod względem szybkości przewyższają wszystkie inne na świecie.

Szybkość ta rzeczywiście jest zadziwiająca. Nie robiłem wprawdzie prób, jakie robił jeden z naszych starterów wyścigowych, gdy wysadziwszy łaskę przez okno, słyszał wyraźnie odgłos: trrr! jaki wydawała ta łaska, uderzając o słupy telegraficzne; niemniej jednak pomyślałem sobie, że gdyby naszym wagonom przyszło galopować podobnie, zaraz na pierwszej stacyi zziałyby się tak dalece, że trzeba by je koniecznie do stajni odprowadzić. Zresztą nie wiem, czy ten obyczaj szybkiego jeżdżenia jest lepszy. Bo że tam czasem u nas zawiadowca nie puści pociągu, dopóki człowiek wysłany po wiśnie dla jego narzeczonej nie wróci z wiśniami, lub że

inny jaki zawiadowca ze stacyi prowincjonalnej woła za odchodzącym już pociągiem: »Stój! bo pan Piegłasiewicz nadjeżdża«, — toćże to wygodniej dla wszystkich. Ma to charakter taki sobie familijny, którego nie powinniśmy się pozbywać, zwłaszcza, że, jak jeden z naszych najgłębszych publicystów zrobił zadziwiające odkrycie, nasze wszystkie instytucye wyszły z rozszerzonego pojęcia rodziny, i że, co za tem idzie, »w niebie jest daleko chłodniej, niż w piekle.«

Ale tymczasem pociąg leciał, jak na skrzydłach. Zbliżyłem się do okna wagonu. Jestem tedy w Anglii, w tym kraju tak odmiennym pod każdym względem od naszego, a nawet od wszystkich krajów stałego lądu; w tym kraju nieprawdopodobieństw, gdzie np. arystokracya ma rozum, porządek publiczny—sympatyę, parlamentaryzm nie jest pochyłem drzewem, na które wszystkie kozy skaczą, dobro społeczne nie jest frazesem dziennikarskim, a czas wrogiem, którego się zabija.

Dziwny kraj, zaiste. Kobieta nie ma tu żadnych praw, a korzysta ze wszystkich; postęp pędzi naprzód tak szybko, jak miejscowe lokomotywy, ale przybrany w średnicwieczny ko-

stium; *habeas corpus* nie tłómaczy się z łaciny: »a głupiemu radość!«

Ale to dopiero jedna strona obrazu, strona polityczna, strona lepsza. Daleki jestem od tego, abym i pod względem racjonalnym miał uważać Anglię za niedościgniony ideał. Pod tym względem w Belgii jest lepiej, we Francyi lepiej, w Prusach lepiej, i u nas lepiej. Warunki, w jakich istnieje własność ziemska, walka między kapitałem i pracą, proletaryat, głód i ciemnota, niby chmura nad przyszłością tego kraju: są to rzeczy tak znane, że nie potrzebuję się o nich rozpisywać.

Na szczęście jednak, ludzie mają tu rozum, i zamiast kłaść się kamieniem wpoprzek prądom społecznym, starają się je opanować i uregulować ich brzegi. Nic dziwnego, że potem fale, które mogły kraj zalać, obracają koła młynów i tartaków. Tak było przynajmniej od dawnego czasu aż do dziś dnia.

Ale wracam do mojej podróży. Nie będę się starał opisywać Anglii ani pod względem społecznym, ani politycznym, ani obyczajowym. Celem mojej wycieczki była Ameryka, uwagi więc moje o Anglii, przez którą tylko przejechałem, mają wartość notatek spisanych

w wagonie. Zresztą czytelnicy nasi mają dość wiadomości o Anglii. Piękne listy zatytułowane: »Wieczory nad Tamizą« i piękne korespondencye Sewera wyczerpują stronę obyczajową zupełnie zadawalniająco, rozmaite zaś własne »korespondencye«, które tem słuszniej nazywają się »własnymi«, że się własnymi rękami na miejscu robią, dają wierny obraz stanu politycznego tego kraju, nie mówiąc już o tem, że są nader interesującymi objawami jasnowidzenia.

Nakoniec Anglia pod żadnym względem nie jest dla nas obca. Należy oddać sprawiedliwość pewnej naszej klasie społecznej, że wszystko, co tylko Anglia ma najlepszego i najzbawieniejszego, stara się u nas wprowadzić i zaszcześcić: mamy angielskie wyścigi, angielskie faworyty, angielskiego krowiaka, angielskie paletoty, angielskie nudy, angielskie kołnierzyki i angielskie »natives«, po spożyciu kilku tuzinów których pewien znany nasz lord mawia, że taki jest, jakby się dopiero na świat narodził. Ale on i bez tego jest taki, jakby się dopiero na świat narodził.

Znowu jednak odszedłem od rzeczy. Owóż, siedząc w oknie wagonu, przypatrywałem się ciekawie krajobrazowi. Miasta, miasteczka, fermy

i parki migwały przed memi oczyma. Krajobraz wiejski podobny tu jest do belgijskiego, tylko domki farmerów schludniejsze, na łąkach zaś, mieniących się nader świetną zielonością, pasą się liczne stada owiec. Zresztą wszystko pod linię i miarę, wszystko trochę sztywne, ale pełne oryginalności. Wszędzie spokój, nad wesołymi widokami wiejskimi rozciąga się chmurne niebo, na krańcach zaś horyzontu, nad malowniczymi grupami drzew szarzeje mgła.

Gdyśmy zbliżali się do Londynu, był zachód słońca. Nad miastem unosiło się jedno morze dymów, pod którem rozciągało się drugie morze dachów, kominów i wież kościelnych, które wreszcie, nie ogarnione wzrokiem, zlewały się w dali z sinawymi chmurami zachodu. Nim przybyliśmy na stację, było ciemno, udaliśmy się więc do hotelu z zamiarem niewychodzenia tego wieczoru nigdzie, co jak dla mnie, jadącego bez odpoczynku wprost z Warszawy, było prawie koniecznością. Hotel nasz nazywał się Charing Cross. Jest to gmach mało co mniejszy od naszych powiatowych miasteczek, a z pewnością ruchliwszy. Nie umiejąc po angielsku, poprosiliśmy na migi o numer. Kazano nam wejść, a raczej wsadzono nas, razem z kuframi, do

jakiegoś małego pokoiku, i pojechaliśmy z owym pokoikiem, czyli elewatozem, jak tu nazywają, w górę, nie wiem już na które piętro; następnie znaleźliśmy się na korytarzu, a następnie w pokoju, który przeznaczono nam na mieszkanie. Wkrótce wszedł jakiś ospowaty gentleman i począł coś do nas mówić, pocierając sobie kolano. Odpowiedziałem mu: „*All right!*“ czego nauczyłem się od pewnego warszawskiego literata, który wprawdzie nie umie więcej po angielsku, ale którego akcent podziwiają roznosiciele i cały skład redakcyi, do której należy. Pomyślałem sobie przytem, że gdyby w szkołach uczono mnie w swoim czasie, zamiast mnóstwa innych rzeczy, choć trochę angielskiego, moja edukacya byłaby o wiele zupełniejszą. Mój Boże! pamiętam, jak w drugiej czy trzeciej klasie, ucząc się zoologii, powtarzałem po całych godzinach podniesionym płaczliwym głosem: »Jedne są ogoniaste, drugie ogonów nie mają... jedne są ogoniaste, drugie ogonów nie mają.« Teraz zapomniałem, które są ogoniaste, a które ogonów nie mają, a nie umiem powiedzieć kelnerowi, żeby mi dał wody do umycia się, chociaż po trzechniowej jeździe koleją, jestem czarny jak

duśza wydawcy, który literatowi nie podwyższył nigdy honoraryów.

Z tego wszystkiego zaś ta głęboka nauka dla moich współobywateli wypływa, aby po wyuczeniu przedewszystkiem dokładnie rodowitego języka, uczyli dzieci swoje i innych. Dziś posiadać znajomość kilku języków jest to mieć chleb w ręku. Można być wprawdzie »naszym znanym i powszechnie czczonym« nie umiając żadnego; ale w interesie własnym lepiej jest umieć jak najwięcej, tembardziej, że wielu z moich współbraci, doszedłszy do wieku dojrzałego, obiera sobie za mieszkanie takie kraje, o których za lat dziecinnych nawet w geografii nie czytali.

Postanowiłem tedy, że jak najprędzej kupię sobie metodę Ollendorfa i z prawdziwie budującą cierpliwością będę tłómaczył wszystkie mądre zdania, napelniające rzeczoną książkę; owe takie głębokie pytania, jak np.: »Czy cudzoziemiec zjadł siano sąsiada, materac majtka i guziki ogrodnika?«—że przejadę cały ten czyściec nonsensów, byle jak najprędzej nauczyć się tyle angielszczyzny, żeby choć cokolwiek więcej umieć od naszych starterów wyścigowych. Tymczasem kelner hotelowy z prawdziwą

angielską flegmą począł sobie pocierać drugie kolano, nie przestając powolnym głosem i przeciągłym akcentem nadwierać i tak nadwężonej już mojej cierpliwości. Odwróciłem się do okna, przez które widać było w półmroku wieżę westminsterską, i począłem nucić: »Mów, o Eurydyko, czyli wierną będziesz!«

— Czego chce ten bawół? — spytał mój towarzysz.

— Powiada, że nie wyjdzie, póki mu pan co na ból w kolanach nie poradzisz.

Bawołowi jednak sprzykrzyło się widocznie mówić i wyszedł, rzuciwszy na nas pogardliwe spojrzenie. Wogóle zauważyłem, że Anglicy odznaczają się daleko mniejszą uprzejmością dla cudzoziemców, niż Francuzi. Kiedyśmy na drugi dzień, mając już przewodnika, kupowali gumowe płaszcze na podróż Oceanem, w sklepie zastaliśmy dwóch sprzedających gentlemanów, ale dwóch pijanych: jeden sprzedawał nam płaszcze, drugi zasunawszy na tył głowy kapelusz i oparłszy się plecami o towary, lżył nas półgłosem, spluwając przytem z nadzwyczajną wprawą na wszystkie strony.

Dzień następny poświęciłem na obejrzenie Londynu, o ile olbrzymie to miasto można obej-

rzyć, nie mieszkając w nim z pół roku. Zwiedziłem Westminster, gdzie widziałem adwokatów i sędziów w długich białych perukach, przechadzających się pod gotyckimi krużgankami i pokrzepiających dżinem wyczerpane wymiarem sprawiedliwości siły; zwiedziłem *British Museum*, gdzie znów widziałem przynajmniej połowę greckiego Akropolu, przeniesioną w kieszeniach turystów, ogród zoologiczny, kościół św. Pawła i inne pamiątkowe gmachy. Powierzchność miasta posępna ani się może porównać ze złotym Paryżem. Domy tu wąskie i niezbyt wysokie, budowane z czerwonej lub surowej cegły, którą potem kopci dym, obmywa deszcz, co razem nadaje jej wszelkie pozory brudu. Place za to wspaniałe i obszerne. Wszędzie mnóstwo posągów Nelsona i Wellingtona, lwy pilnujące posągów — i na rogach policmeni spokojni i nieruchomi także, jak kamienne posągi. Miasto ruchliwe: miliony ludu na ulicach; fiakry, jednokonne keby, karety, omnibusy, ciągną się nieprzerwanym łańcuchem po wszystkich większych ulicach. Około południa udaliśmy się do Hyde-parku. Tu tysiące kobiet i mężczyzn na koniach i mnóstwo odkrytych powozów. Twarze mężczyzn po większej części brzydkie, długie,

o wyblakłych oczach; rzadko gdzie błękitna krew normandzka ujawnia się w regularnych rysach twarzy, pięknych niebieskich oczach i jasnych włosach; kobiety jednak po największej części piękne, a raczej wszystkie piękne, ale te tylko, które teraz oto harczą na folblutach po szerokich i długich alejach parku. Twarze niektórych — to prawdziwe pomysły poetyczne: poprostu twarze to anielskie, jasne, spokojne, pogodne. Podobne, a raczej podobnie idealne, widziałem tylko w rysunkach Grottgera. Trudno mi wypowiedzieć, do jakiego stopnia dochodzi tu tak zwana delikatność rysów. Zdaje się, że te pieszczone dziewczyny arystokratyczne nie z krwi i ciała się składają, ale z mieszaniny promieni słonecznych, mgły, blasków jutrzeńki i duszy. Zdaje się, że tylko chwilowo zstąpiły na ziemię, aby poigrać wśród zieloności, a potem rozwiną skrzydła i ulecą jak ptaki — jak mewy za słońcem. Nigdy troska powszednia, nigdy znój, nigdy zwykła ziemską niedola nie zachmurzyły żadnej z tych jasnych twarzy. Praca dla nich ma znaczenie zabawy; otacza je przepych, życie wykwintne, oglądzone, wysokie, jak gdyby zawsze świąteczne. Te panny wszystkie zapewne są dobre — ależ bo i nie mogą być

inne: nie zetknęły się ze złem, zaledwie słyszały o niem. Są to kwiaty rodzaju ludzkiego: kwitną — oto wszystko. To ich cel — i zasługa aż do chwili zamażpójścia. Potem wydają na świat dzieci, co jest także zasługą, i w ogóle, jak mówią ludzie znający angielskie społeczeństwo, są dobrymi żonami i matkami, co jeszcze jest zasługą; potem umierają i oczywiście idą do nieba, co już nie jest zasługą, ale nagrodą — i co im łatwiej przychodzi, bo w życiu prawie nie znały pokus złego.

Możnaby nawet powiedzieć, że urodziły się po to, żeby za życia żyć szczęśliwie, a po śmierci otrzymać zbawienie. W swoim czasie Kalwin nie bez pewnej logiki powiedział, że ludzie, przychodzący na świat, są z góry wybrani albo potępieni.

Widzieliśmy wybranki, ale i potępionych niedaleko szukać. W tym samym Hyde-Parku stoi oparty o baryerę jeden z wolnych obywateli Zjednoczonych Królestw. Przypatrzmy mu się: obywatel ten ma lat szesnaście, dziury na łokciach, czoło idyoty, spróchniałe zęby i wystrzępione majtki. Ma także jakiś surdut jakiegoś koloru, ale nie ma za to koszuli.

— Gdzie twój ojciec? — pyta nasz przewodnik.

— W Botany Bay.

— A matka?

— Matka robi pudelka.

— A siostry?

Ma ich trzy, robią także pudelka; ma także dwóch braci po lat ośm, którzy robią pudelka, i jednego lat trzech, który pomaga je kleić.

W Anglii całe setki i tysiące ludzi żyją z tej pracy, a raczej głód mrą z tej pracy.

Otóż i nasz potępiony! Matka jego chora, bo wszyscy, którzy dłużej robią pudelka, chorują; ojciec jego był zamiataczem ulicy, ale raz aresztowali go i wywieźli. Chłopak nie umie czytać i pisać, klnie za to nadzwyczaj wprawnie. Widać także, że trochę i pije, bo jak zimno, to dżin rozgrzewa.

— Czy umie też pacierz?

— Co? — pyta zdziwiony, otworzywszy usta.

On tego nie umie, on umie robić pudelka, a to nie jego rzemiosło.

— Ale jeść ma ochotę?

Ma, ale nie ma pieniędzy, a kraść się boi.

— Ale choćbyś się nie bał, to nie zrobiłbyś tego, bo to jest źle?

— Jużci źle, bo jak policya złapie, to trzeba do więzienia.

To dla niego przyczyna: inaczejby kradł.

— A sumienie, chłopcze?

— Co to jest? czy to się je, czy to się pije?

Czego od niego chcą? On przecie tu stoi spokojnie i nikomu nie zawadza.

Oto mały obrazek. Ach! ten wolny obywatel Zjednoczonych Królestw nie umie czytać, pisać, nie umie pacierza, nie wie, co jest Bóg; myśli, że sumienie się jada albo pije; nie słyszał o cnotcie; nie ma co jeść, pić i gdzie mieszkać, umie zaś robić pudelka. Tymczasem nędza mówi do niego: »Zabij!« głód: »Ukradnij!« chłód: »Upij się!« Oto jego nauczyciele: innych nie ma. Czy ich posłucha? Tak: jak tylko przestanie się bać policyi.

Ale co też ja mówię! Ten wolny obywatel Zjednoczonych Królestw ma przecież rozmaite prawa, z których może korzystać: *habeas corpus*; ma prawo głosowania; pełnomocnik jego będzie w swoim czasie przemawiał w Izbie gmin. Co też ja mówię! Ten wolny obywatel jest nawet bogaty. A oto i ten Hyde-Park to przecież własność publiczna, zatem własność i jego; a British Museum? a Pałac Kryształowy? a place,

ogrody, gmachy publiczne? To wszystko jego. A przytem on jest Anglikiem; do niego należą: Indye, Australia, Kanada; on ma wojsko, flotę; to potentat prawdziwy. Ale czegoż tak drżysz na całym ciebie, potentacie? Aha! on jest naczczko od onegdaj. Masz oto szylinga, biedaku: kup sobie co zjeść.

Chłopak wytrzeszcza oczy. Szylinga?.. Ależ on nigdy nie miał razem tyle pieniędzy! Szylinga? Potentat ogląda go z niedowierzaniem na wszystkie strony, następnie wydaje rodzaj radosnego wycia; chowa pieniądź do kieszeni, z której mu go żaden złodziej nie ukradnie, bo tą kieszenią są jego usta, i ucieka, nie podziękowawszy nawet za datek.

A jednak ma Indye, Kanadę, Australię, pałace, ogrody! Straszne społeczne zagadnienie.

Ale tymczasem bije godzina pierwsza. W parku robi się pusto, a w końcu zupełnie pusto. Czas wracać do domu. Mamy przed sobą odległość kilku mil angielskich, mały to jednak kłopot, bo z pomocą kolei podziemnych, przebywa się przestrzeń w kilka minut. Czem dla Paryża są omnibusy, jeżdżące na wszystkie i we wszystkie strony, tem dla Londynu podziemne koleje żelazne. Rozchodzą się pod całym miastem; bieg-

ną pod domami, pod ulicami, pod Tamizą. Przychodzimy nad jakąś obszerną jamę w kamienicy, a w tej jamie widać schody, wiodące na dół; kupujemy bilety i, zszedłszy kilkadziesiąt stopni, znajdujemy się na obszernej stacyi kolei żelaznej. Jedna lokomotywa odchodzi, druga, ta, która ma nas zabrać, właśnie się zbliża. Bilety nie kosztują nawet dziesięciu naszych groszy, ale mimo tak małej ceny, kupiliśmy umyślnie do klasy trzeciej, czy też drugiej, aby przypatrzeć się ludowi. Wsiadamy.

W wagonie, dość zresztą nędznym i odrapanym, tlok. Tuż obok nas młoda Irlandka, o rysach twarzy łagodnych i pięknych, karmi pierśią młodego fenianina, który wierzga nogami, niekiedy zaś przestaje ssać, spogląda na obecnych; następnie krzywi się, zamyka oczy, otwiera usta, i przygotowawszy się w ten sposób, poczyną wrzeszczeć. Naprzeciw nas, jakiś staruszek obiera pomarańczę z pomocą jednego, ale bardzo długiego i pięknej zielonej barwy zęba; przytem sapie tak, że obecni sądzą, iż przechodzi druga lokomotywa. Dalej robotnicy w niebieskich bluzach, wracający widocznie od roboty, palą fajki, lub dla rozrywki, zakładają jeden drugiemu nogi na kolana. Mdle światelka

lamp oświetcają całą scenę. Pociąg biegnie jak szalony; lokomotywa huczy, jako zwyczajnie w podziemiu. Powietrze jest duszne, napełnione wonią węgla i siarki: zaczyna nam braknąć oddechu. Przelatujemy jak wicher od stacyi do stacyi; jedni wysiadają, drudzy wsiadają. Nie wiem, gdzie jesteśmy i gdzie wysiąść należy. Przez chwilę w szybach wagonu mignęło światło dzienne, potem znów ciemno i coraz duszniej, nakoniec lokomotywa staje, wysiadamy, i znów oddycham pełną piersią: jesteśmy na ulicy wśród białego dnia, sklepów, powozów, natłoku ludzi i deszczu.

Na ulicy spotykamy mnóstwo kobiet, często bardzo młodych i ładnych. Chodzą same bez opieki, a raczej pod opieką praw i wszystkich pięści i lasek W. Brytanii. Żaden Don Juan nie zbliża się tu do idącej samotnie dziewczyny i nie mówi jej, jak się to praktykuje w pewnem znanem mi mieście: »Jak to, pani—tak piękna, tak młoda, i sama? Dzień dobry, aniolku!« Pierwszy lepszy gentleman, spotkawszy takiego Don Juana w roli czynnej, wbiłby mu kapelusze na głowę aż po szyję, połamałby żebra, popodbijał starannie oczy i następnie oddał w ręce policmena. Kobieta zaczepiona nie potrzebuje tu

zresztą innej obrony prócz policyanta. Spokojny ten człowiek dotyka wówczas złowrogą laseczką ramienia awanturnika i w imieniu Jej Królewskiej Mości wiezie go do kozy, sąd zaś, za jedno nic, za jeden mały komplement, bardzo wreszcie uprzejmy, skazuje go czasem i na pół roku więzienia.

Wskutek tego Anglik i wogóle W. Brytańczyk nie zaczepia nigdy kobiety. Jeśli zdarzą się podobne zajścia, zawsze to będzie jakiś cudzoziemiec, często Francuz, a często i mój rodak, w którym uprzejmość dla dam stała się już tak dalece drugą naturą, że nie zraża się żadnymi niebezpieczeństwami. Co większa: to, coby żadną miarą nie uszło Don Juanowi miejscowemu, uchodzi często przedsiębiorczemu dziecieniu Północy. »Pani, — mówi jeden z nich językiem sewilskiego Cygana, o którym może czytał w »Wędrowcu«: — wdzięki twe to dla mnie śmierć, ale gdy ujrzę koniec twej nóżki wracam do życia.« — »Jestem cudzoziemcem, — mówi drugi — wiem, że w ten sposób nie zabiera się znajomości, ale nie mam innego sposobu; natomiast rzeknij pani słowo, a zrobię rewolucję i ogłoszę cię królową.« Czasem się udaje, a czasem robi się z tego awantura, ale

rycerski Nadsekwańczyk lub Nadwiślanin nie lęka się pięści, wie zaś, że sądy dla cudzoziemca są względne.

Kobiety tutejsze stanowią lepszą i jaśniejszą stronę krajowego medalu. Mają wiele spokoju i pogody duszy, która odbija się w ich twarzach. Za to jeśli znajduje się która brzydka, to już taka brzydka, że na widok jej można zdziczeć.

Podczas gdy przewodnik nasz czyni powyższe obyczajowe spostrzeżenia, zbliżyliśmy się do naszego hotelu. Tuż przed jego bramą dwóch gentlemanów, jeden przekupień pomarańcz, drugi woźnica, bilo się na kulaki. Jest to widok nader pospolity na ulicach Londynu. Bijących otaczała gromadka ludzi. Niektórzy z widzów trzymali ich surduty i dodawali im zachęty; stojący za kolemn widzów policyant wspinał się na palce, patrząc przez głowy, czy obywatele rozplaszczają sobie nosy legalnie; zresztą nie mieszał się do niczego. Walki podobne mają swój regulamin, nad którym czuwają wszyscy obecni. Każdemu z walczących chodzi o to, aby pięścią uderzyć w oko przeciwnika i podbić je, a następnie podbić i drugie. Ciosy w nos i w usta są również i dozwolone i cenione. Jeżeli jednak

jeden z walczących zawoła: „*Enough!*“ (*enof* — dosyć), uznaje się tem samem za zwyciężonego; zwycięzca zaś odpowiada: „*All right!*“ i natychmiast przestaje bić ofiarę. Gdy tego nie uczyni, wszyscy rzucają się na niego i tłuką co wlezie, policman zaś kładzie laskę na jego ramieniu.

Zwykle jednak po „*enough*“ następuje natychmiast „*all right*“, poczem przeciwnicy rozchodzą się bez gniewu, widzowie zaś winszują najpiękniejszych ciosów, tak temu, który je zadał, jak i temu, który je otrzymał. Zwłaszcza złamanie szczęki lub przetrącenie nosa wywołuje liczne powinszowania. Jeżeli przeciwnicy są równej siły i zręczności, a walka się przedłuża, wówczas w kole widzów powstają zakłady, i cała scena przybiera nadzwyczaj interesujący, oczywiście tylko dla Anglików, charakter. Najczęściej w takich walkach zwycięzcami są Irlandczycy, którzy w ten sposób wynagradzają sobie krzywdy polityczne.

W hotelu zapakowaliśmy rzeczy, czekała nas bowiem nocą podróż do Liwerpoolu; potem, zapłaciwszy rachunek i przekonawszy się, że niepotrzebnie dla oszczędności jadaliliśmy nie w hotelu, ale na mieście, w hotelu bowiem płaci się za wszystko razem, wyszliśmy znowu na

ulicę. Nie pamiętam, na której już z ulic uwagę moją zwrócił żółto pomalowany dom, otoczony ogrodem, z zielonemi żaluzjami w oknach. Pamiętam, że była to jakaś ustronna ulica; na chodnikach było pusto; w ogrodzie świergotały wróble, z domu dochodziły łagodne śpiewy kobiece, nad domem zaś i ogrodem unosił się dziwny spokój.

— Co to za dom? — spytałem. — To przytułek dla zbłąkanych dziewcząt, pragnących wrócić na drogę cnoty. Ach! instytucya anielska, instytucya tego rodzaju, że nawet temu, kto zwątpił o ludzkości, przychodzi w nią uwierzyć napowrót. W dziewczętach już upadłych budzi się czasem sumienie; czasem tęsknota po życiu czystem, po pracy, po obowiązku, po owych chwilach, w których jako dzieci czyste i niepokalane marzyły o innej, dalekiej od sromoty przyszłości. Tęsknota ta tak opanowywa dziewczynę, że pragnęłaby zerwać z hańbą, ze wstydem, z występkiem. Oto noc jasna i księżycowa na niebie. Dziewczyna staje w oknie, wpatruje się w niebo gwiaździste: wszędy spokój, cisza; dobry Bóg zdaje się uśmiechać do niej; w ciemnych błękitach widzi niby jakąś rękę, wzywającą ją do siebie; słyszy głos: »Wróc

biedne dziecię do mnie, pod skrzydła pokoju i życia pełnego ciszy!« Więc oczy dziewczyny brzękną łzami, kolana drżą pod nią; wreszcie pada na nie i poczyną się modlić. Postanowiła się poprawić — i czy się poprawi, myślicie? Oto pójdzie jakby pod stromą górę, której grunt jest ruchomy: zakrwawi ręce i nogi, drapiąc się pod nią, ale co wejdzie kilka kroków, ziemia usuwa się jej z pod nóg, i dziewczyna spada jeszcze głębiej; próbuje znowu, i stacza się jeszcze głębiej, aż wreszcie zostaje na dnie z poczuciem własnej bezsilności i rozpaczy w duszy.

Czasem znów zdarza się, że dziewczyna jeszcze cnotliwa opiera się i woła ratunku, żeby nie wpaść w otchłań występku, ale głód ciągnie ją za jedną rękę, chłód za drugą, przemoc socyalna popycha ją z tyłu, i czy sądzicie, że dziewczyna oprze się tej piekielnej trójcy? Co z sobą zrobi? gdzie się podzieje? gdzie dla niej ucieczka i obrona? Nigdzie, z wyjątkiem Anglii. »Chwała na wysokościach Panu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!« — mówi Psalmista. O! chwała dobrej woli: dziewczyna uratowana, bo oto ustron spokojna, ogród zielony i »Żółty dom«.

Wśród ciemnej, zimnej i dżdżystej nocy, wy-

chudzona ręka targa gorączkowo za dzwonek w bramie »Żółtego domu«. Z za bramy nie odpowiada groźne warczenie psa, ani gniewliwe: »Kto tam?« stróża nocnego. Drzwi otwierają się cicho, widać ciemny korytarz, jakaś ciepła, łagodna dłoń bierze zziębłą rękę nieszczęśliwej i prowadzi ją za sobą. Nikt jej się nie pyta: co za jedna? skąd przyszła? jaka jej dola poprzednia? jakie występki? Po chwili znajduje się w małym schludnym pokoiku. Czyste, białe zasłane łóżko, na stole dymi ciepły posiłek, pali się lampa, leży Biblia, nad łóżkiem zaś głowa Chrystusa, w jasnej gloryi, patrzy na nią słodko, łagodnie, zachęcająco.

Dziewczyna rzuca się na jadlo. Jej się przede wszystkim chciało jeść; potem chodzi niepokojnie po pokoiku. Nie umie zebrać myśli; nie wie, co się z nią stało: boi się, czy nie dostała pomieszania zmysłów.

Tymczasem zwolna otwierają się drzwi: wchodzi jakiś gentleman, staruszek o twarzy dobrotliwej, ojcowskiej, wzbudzającej ufność. Staruszek wchodzi ot tak, jakby przyszedł do znajomej, i mówi:

— Dobry wieczór, moje dziecię! Ja jestem doktor: czyś nie chora?

Nieufny i niespokojny wzrok jest całą odpowiedzią.

— Czas mamy szkaradny... co? Łatwo się przeziębć. Pokaż puls, dziecko. No, dobrze, doskonale. Jeżeli pozwolisz, przyjdę cię odwiedzić jutro. O! brzydki czas. A teraz połóż się. Dobranoc, dziecko.

To mówiąc staruszek głaszcze dziewczynę po głowie i zabiera się do wyjścia, ale w progu odwraca się i mówi:

— Ale... wszakże ci na imię Fanny?

— Jenny.

— A tak! tak! Jenny. Otóż, Jenny, idź już spać, ale... pomódl się; zmów pacierz, Jenny. Dobranoc!

To mówiąc, zamyka drzwi. Jenny pozostaje sama. Jeszcze chwila osłupienia; potem wybuch płaczem i biegnie rzucić się na kolana przed obrazem Chrystusa. Ale nie... Ona nie może klęknąć przed tym obrazem w jaskrawej sukni, z uczernionymi brwiami, ze sztucznymi rumieńcami na twarzy i wszystkimi oznakami hańby. A oto obok łóżka leży na krześle skromna sukienka i cały ubiór. Jenny więc zrzuca te strzępy, które ją teraz palą i pieką, a potem modli się długo, długo.

Nazajutrz, już to nie owa Jenny. W skromnej sukni, z gładko przyczesanymi włosami, nie poznaje sama siebie. Wołają ją na śniadanie; znajduje towarzyski: nikt się jej o nic nie pyta, ale przyjmują ją jak siostrę. Prócz towarzyszek zastaje inne kobiety: pewno wielkie damy; ale może i nie, bo nie dumne, jakieś dobre, anielskie istoty, których przeszłość jak śnieg niepokalana. Kto są te damy?

— Aniołowie.

Ale i te skrzydlate istoty traktują ją jakby siostrę, jakby nigdy nie zgrzeszyła, jak sobie równą.

— Dzień dobry, Jenny... Dobry wieczór, Jenny — mówią jej łagodne głosy.

Co większa, te niepokalane istoty służą jej, bawią się z nią, przyjaźnią, rozmawiają z najniższą, najnędzniejszą i najbardziej upadłą ze wszystkich istot na świecie. Żadnej wymówki, żadnej wzmianki o przeszłości. Są chwile, w których samej Jenny wydaje się, że jest lepszą; wraca jej ufność, spokój: doprawdy, jej się chwilami wydaje, że jest taką jak dawniej, za lat dziecinnych...

Bo też ona już i jest taką, jak za lat dziecinnych.

Modlitwa, praca ręczna, nauka, przeplatane rozrywkami: oto w jaki sposób schodzi czas mieszkankom »Żółtego domu«. Nie każą tu im pokutować za przeszłość, ale każą o niej zapomnieć. Otaczają je atmosferą czystą: pracy, pogody, spokoju i niewinności, a atmosfera ta obejmuje je i przesiąka w najbardziej zepsute serca. Potem uczą, dają umiejętność zarobku; potem znajdują zarobek i puszczają na świat.

Najlepsze robotnice, najlepsze służące wychodzą z tego domu. Młodsze często potem wychodzą za mąż, są dobrimi żonami i matkami.

Podczas kiedy przewodnik nasz opowiadał mi o »Żółtym domu«, myślą uleciałem nad pewne znane wam dobrze miasto i spojrzałem na jego zakłady dobroczynne. Widziałem pewien gmach z napisem łacińskim, widziałem komitety, sesye; byłem na posiedzeniu, słyszałem prośby o głos, przywoływania do porządku; słyszałem mowy i zwroty krasomówcze. Figury retoryczne brzęczały mi koło uszu, jak muchy; jakiś głos wołał: »Bóg nam powierzył fundusze Towarzystwa, Jemu tylko zdamy z nich rachunki.« Inny zaś wołał: »Nie potrzebujemy tłumaczyć się opinii, albowiem napisano jest: »Niech nie wie lewica, co daje prawica.« Inny: »Dobroczytność nie

jest cnotą, jeśli jest jawną.« Słowem, widziałem parlament, nie mogłem tylko dostrzedz, co robi się z funduszami miłosierdzia; slyszalem zgielk, hałas; obok grano na skrzypcach; obok tańczono w filantropijny sposób; dalej sprzedawano w bazarach, umizgano się w celach miłosierdzia do pięknych kobiet; uszcześliwiano się w celach miłosierdzia w buduarach. Roztańcowane i spoczone miasto śpiewało na nutę z Pięknej Heleny: »Jam — jest — gród litościwy, gród litościwy, gród litościwy — jam miłosierdzia wzór!« — ale pieśń tę tuż obok głużyły liczne jak piasek w morzu głosy. Ochryple te głosy wołały: »Łaskawi i miłosierni panowie, choć grosik na chleb, choć kopiejczkę na sznapsika!«

Ale oto jakiś inny zakład miłosierny uderzył moje zdziwione oczy. Dewizą jego: »Sięgnij, bratku, do saka.« Co u licha! widzę jakby jakieś przedstawienie teatralne: mnóstwo gazu, koronek, aksamitu, lornetek, pudru, francuszczyzny. Zdaje się, że wszystkie dobre uczynki tak do ciała, jak i co i do duszy, wyprawiły sobie dystyngowaną maskaradę; widzę także Adama, Ewę, węża; cnoty teologiczne w trykotach, czyli piękne panny w teologicznych kostiumach wyznawców tychże cnót, wypchanego kota, ostendz-

kie majtki, Semiramidę. Cóż to jest? To miłosierne widowisko, pod tytułem: »Wiele hałasu o nic.« Dużo huk, puku. Nic nikomu ono nie szkodzi. Pan Bóg niewiele przez to traci, dyabeł niewiele zyskuje: przytulone baby najwięcej; prawdziwa zaś nędza, jak ów kogutek, który poszedł na orzechy w bajce:

„Leży, leży wedle drogi,
Wyciągnęła obie nogi,
Ledwo tchnie.“

Żałowałem, że długa a pilna podróż, jaką miałem przed sobą, nie pozwalała mi dokładniej poznać, na większą korzyść moich współobywateli, wielu innych instytucji angielskich, które wogóle odznaczają się mechanizmem nader prostym, a przytem wielką dokładnością i dzielnością w czynach. Wogóle instytucje tutejsze, a mówię tylko o prywatnych, nie są objawem naśladownictwa, mody, pewnego popędu, wywołanego sztucznie, ale płyną z potrzeb społecznych i z dziwnie krzepkiego ducha narodowego. Dlatego mniej się tu gada, więcej robi. Instytucje zaś nie upadają, bo poczucie obowiązku każe obywatelom podtrzymywać je z energią i wytrwałością, nietylko z początku, ale zawsze. Dziwni ludzie ci Anglicy. Wyobraźcie sobie,

moi mili współobywatele, że członkowie licznych tutejszych towarzystw nie zalegają nigdy w opłacie składki! Słyszeliście o czemś podobnem?

Ale już dosyć o tem. Na świecie robił się mrok. Na ulicach zapalano latarnie gazowe, które służą tu nietylko po to, żeby wróble miały na czem siadać; wystawy sklepowe zapłonęły jakby wielkie ognisko przez całą długość ulic: czas było udać się na dworzec kolejowy, z którego pociąg wychodził do Liverpoolu.

Rzeczy nasze miały być nadesłane z hotelu. Jakoż zastaliśmy je już w sali dworca. Ogromna czerwona sala była zupełnie prawie pusta, słychać było tylko poważne: tyk-tyk wielkiego zegara, wmurowanego w boczną ścianę. Urzędnik sprzedający bilety skracał sobie czas okręcaniem klucza na palcu, a zajęcie to pochłaniało całą jego uwagę. Pod ścianami stało, paląc fajki, kilku posługaczów. Po kupieniu biletów, udaliśmy się do jednego z nich, ażeby nam pomógł wyekspedyować rzeczy.

— Rzeczy już są na pociągu, — odpowiedział ten gentleman.

— A kwit?

— Jaki kwit?

— Kwit od rzeczy.

Nie mogliśmy się porozumieć. Wreszcie posługacz wyprowadził nas na platformę i pokazał nam nasze kufry, stojące spokojnie w wagonach, a gdyśmy, nie poprzestając na tem, żądali jeszcze kwitu, ruszył ramionami, mruknął: „*Goddam!*“ i poszedł sobie, zostawiwszy nas własnej przedsiębiorczości.

Nie było co robić. Udaliśmy się do kasyera. I znów ten sam dyalog.

— Prosimy o kwit.

— Jaki kwit?

— Kwit od rzeczy.

Kasyer ruszył ramionami i począł okręcać z nadzwyczajną uwagą klucz na palcu, nie spojrzawszy na nas więcej.

Poszukaliśmy tedy konduktora.

— Prosimy o kwit.

— Jaki kwit?

— Kwit od rzeczy.

Konduktor ruszył ramionami; ja starałem się zachować wielkość duszy w nieszczęściu; jeden z towarzyszków moich począł wymieniać nadzwyczajne ilości beczek, karabinów i fur; drugi oświadczył sucho: że jeśli tak, to noga jego nie postanie więcej w tym kraju, czem byłby za-

pewne bardzo przeraził Anglików, gdyby go mogli byli zrozumieć. Następnie obaj spojrzeli na mnie, następnie ja spojrzałem na nich; następnie wszyscy trzej nie wiedzieliśmy co robić.

Tymczasem sala poczęła się napelniać, co raz więc trudniej było sobie dać radę; na szczęście, usłyszeliśmy jakąś parę rozmawiającą po niemiecku.

Towarzysz Poznańczyk poskoczył ku niej żywo.

— Nie chcą mi dać kwitu od rzeczy.

— Bo tu nie dają nikomu. Na kufrach są poprzyklepane kartki, dokąd które idą. Na każdej stacyi wyjmują przeznaczone dla niej pakunki. W Liverpoolu wyjmą pańskie, przyjdiesz pan, weźmiesz je, i skończyło się.

— A jak się kto do nich przyzna?

— Nikt się nie przyzna.

Towarzysz Poznańczyk wrócił do nas w doskonałym humorze.

— O, to, to rozumiem. To to kraj! Co za porządek!

Istotnie przy odejściu pociągu wszystko odbyło się nader porządnie. Posługacze kolejowi nie wrzeszczeli, nie życzyli sobie wzajemnie paraliżów, nie było wzmianek o wątrobach. Pociąg

ruszył, i po chwili Londyn ze swoim morzem światel zniknął nam z oczu. Powietrze tylko nad miastem było rdzawe i czerwone, jak luna pożaru.

Noc robiła się ciemna, tak, że przez okna wagonu nie mogłem nic dojrzeć. Czasem tylko na ciemnym tle nieba rysowały się jeszcze ciemniejsze sylwety kominów. Czasem pociąg wpadł między wielkie zakłady, w których topią żelazo. Olbrzymie ogniska pieców, jaskrawe płomienie, czarne postacie ludzkie na tle ognistem, huk młotów, zgrzyt i wycie pilowanego żelaza, tumany dymu: wszystko to stanowiło jakby obraz rzeczywistego piekła. Potem znów ogarniała nas ciemność i czysta, wilgotna, nocna atmosfera; czasem po huczeniu maszyny można było poznać, że przelatujemy tunele. Towarzystwo w wagonie poczęło się rozsypiać, jak to się zwykle dzieje wśród nocy. Przy drżącym świetle lamp widać było twarze zaspane i zmęczone. Czasem krótka rozmowa przerwała ogólne milczenie. Siedzący obok mnie otyły gentleman, kiwając się przez sen, uderzył głową w moje ramie, a mruknawszy: „*I beg your pardon!*“ uderzył natychmiast po raz drugi. Zdjęta dla wygody para trzewiczków młodej i przystojnej

miss wysunęła się z pod ławki i, podskakując razem z ruchami wagonu, wpadła pod nogi jakiegoś długiego i kościstego jegomości, prawdopodobnie pastora, albo kwakra, który nazajutrz rano, ujrawszy tę rzecz tak świecką, odsuwał ją ze zgrozą z pomocą laski ku śpiącej właścicielce, mówiąc zapewne w duchu: „*Vade retro!*“

Tymczasem zaczęło szarzeć. Brzask robił się na wschodzie: domki fermerskie, drzewa, albo czasem wieże kościelne, występowały coraz wyraźniej z głębi cienia i mgły. O godzinie szóstej dojeżdżaliśmy do Liverpoolu.

Miasto czysto angielskie. Te same niewielkie domy, z czerwonej lub surowej cegły, okopcone dymem a poplamione deszczem; te same zielone zazdrostki w oknach; zresztą z powodu wczesnej godziny, cicho i spokojnie. Od strony morza dał potężny i ostry wiatr; na końcu ulicy widać było las masztów. Mielśmy jeszcze dwie godziny czasu, zatem zatrzymaliśmy się w hotelu, by się umyć, przedrzemać i posilić przed puszczeniem się na morskie odmęty.

Wskazano nam hotel wdowy Clynton, o której mówiono, że umie, a przynajmniej rozumie po francusku. Ale wdowa Clynton, gdyśmy zajęchali, spoczywała jeszcze w objęciach Morfe-

usza; zamiast zaś niej, przyjął nas jakiś Irlandczyk, o czerwonych, stojących jak szczotka włosach, piegowatej twarzy, zaspanych oczach i głosie dwuletniego dziecka.

— Gentlemani jadą zapewne do Ameryki,— mówił, a raczej piszczał głosem nadzwyczaj patetycznym — to daleko, bardzo daleko, tak jest: to bardzo daleko!

Tak mówiąc, podniósł oczy w górę i wzdychał, i zdawało się, że pragnie nas pobłogosławić na drogę.

— A cóż to za mała uroczysta? — odezwał się jeden z moich towarzyszków.

Istotnie Irlandczyk był nader uroczysty. Gdyśmy prosili go o wodę do umycia:

— Do umycia?—odrzekł smętnym głosem— o tak, tak, do umycia.

Potem, gdyśmy się umyli, zaprosił nas również rzewnie na śniadanie, przy którym posługiwał z powagą i milczeniem.

Przy śniadaniu nadeszła wdowa Clynton, wraz z młodą i przystojną córką Clynton, i nie wiem co to za dziwny dom, ale obie te damy wydawały mi się jeszcze uroczystsze. Naprzód wdowa Clynton w krótkiej, ale pełnej głębokiego uczucia mowie wyraziła nam swoją wdzięczność,

żeśmy jej a nie inny hotel wybrali za miejsce chwilowego spoczynku; potem zaś, gdyśmy skończyli śniadanie, zawołała: »No! czas, panowie!« tak rozdzierającym głosem, jak gdyby miała się żegnać z mężem, albo z kochankiem. Przy płaceniu rachunku, który, należy oddać mu sprawiedliwość, był bajecznie mały, wdowa raczyła zwrócić na mnie swoją uwagę.

— Nie żęń się pan w Ameryce: tam niedobre kobiety; szkodaby było pana!

Tu, wobec kwestyi tak drażliwej, córka Clynton zarumieniła się lekko, ja zaś starałem się uczynić to samo, i odrzekłem, że choćbym miał taki zamiar, w chwili tej porzuciłbym go stanowczo. Potem pożegnaliśmy się tak, jak się żegnają członkowie jednej rodziny, i ruszyliśmy do portu.

Z portu mały pękaty parowiec miał nas przewieźć do okrętu, udającego się za Ocean. Nad spodziewanie, podróżnych znalazło się mnóstwo, tak, że cały parowiec był zapchany kuframi, majtkami (okrętowymi), kobietami, dziećmi, co wszystko, prócz kufrów, żegnało się, powiewało chustkami, płakało, całowało, paliło cygara, jadło pomarańcze, lub patrzyło na morze. Dzień był chmurny, dżdżysty; woda niespokojna,

lubo drobno pomarszczona; wiatr podrywał piasek pobrzeżny i ciał nim po twarzach. Przecisnąwszy się przez stosy kufrów, zasiedliśmy w jakimś kącie i milczeli wszyscy. Trudno się oprzeć pewnemu wzruszeniu, mając przed sobą Ocean. Tymczasem mały parowiec zawrzeszczał przeraźliwie, jakby go kto ze skóry obdzierał, podniósł kotwicę i ruszył.

Po półgodzinnej jeździe, ujrzelśmy wreszcie »Germanika«, który miał nas przewieźć do Ameryki. Wyznaję, że ujrzawszy ten statek, długi blisko tak, jak połowa naszego żelaznego mostu, ujrzawszy jego potężne kominy, maszty, jego piętra, jego olbrzymie boki, świecące oknami, odetchnąłem swobodniej.

— No, ten potwór chyba się ani zakolysze na morzu! — rzekłem do mego towarzysza, którego twarz wypogodziła się również.

— Co? — odpowiedział mi z entuzjazmem i dumą, jak gdyby był budowniczym statku:— on sobie, panie, drwi z fali! Ja się poprostu kocham w tym statku!

Było to istotnie uczucie trochę zbyt nagle, ale taki patryotyzm okrętowy, gdy chodzi o własną skórę, jest do wytlómaczenia.

Tymczasem potwór nasz wywiesił czerwoną

chorągiew z białą gwiazdą i napisem: „*White star*“ (biała gwiazda), należy bowiem do Towarzystwa noszącego tę nazwę; następnie nie zagwizdał, ale ryknął głosem tak tubalnym, że nasz stateczek przewozowy o mało nie schował się pod wodę ze strachu. Zbliżyliśmy się jeszcze więcej do jego boku, a raczej do jego stóp; zahurgotał pomost, powstała wrzawa i zamieszanie: chwyciłem za ucho mój kufer i po chwili znalazłem się na »Germaniku«.

Był to czwartek, dzień 23-ci lutego.

II.

Z O c e a n u .

Pod wieczór dnia 23-go siedliśmy na okręt »Germanicus«, który miał nas zawieźć do Ameryki. W poprzednim liście wspominałem, że jest to jeden z najpotężniejszych parowców linii »White Star«, utrzymujący komunikację między Liverpoolem a New-Yorkiem. Fale morza Irlandzkiego zaledwie cokolwiek kołysały olbrzymim statkiem, tembardziej że i pogoda była piękna. Po dwu lub trzygodzinnej jeździe ściemniło się. Brzeg irlandzki, wzdłuż którego płynęliśmy na południe, coraz bardziej osłaniał się mgłą i rozpływał w ciemnej dali, nakoniec zmałciał się zupełnie z morzem, niebem i nocą — i zniknął. Chwilami tylko połyskiwały czerwone i zielone światła latarni, które zdawały się palić w powietrzu; wreszcie i one pograżyły się w ciemnościach, a naokoło białaly tylko zapie-

nione szeregi grzbietów fal, idących jedna za drugą z nieskończoności.

Nazajutrz rano przybiliśmy do Queenstownu, portu leżącego na samym południowym cyplu Irlandyi, skąd już prosto na zachód mieliśmy się puścić do New-Yorku. Queenstown jest to ogromny port, a zarazem, jak mnie zapewniali z dumą Anglicy, niezdojta forteca, chociaż sądzę, iż niezdojta jest głównie dlatego, że nikt jej nigdy nie zdobywał, a zatem i nie zdobył, na mocy czego nasz Ozorków również za niezdojta warownię poczytywaćby można.

Ale jak pomiędzy naszymi miastami każde ma jakąś osobliwszą sławę, skutkiem której mieszkańcy ich mówią: »u nas, panie, w Płońsku«, »u nas w Kozienicach«, lub: »u nas w Przytyku, to, panie, znajduje się to i owo«— a mówią z taką dumą, jak gdyby: „*chez nous à Paris*“ — tak i Queenstown odznacza się tem, że stanowi wrota Oceanu. Tu kończy się morze Irlandzkie, a zaczyna się Atlantyk, i z tego powodu prawie wszystkie okręty, idące z Anglii do Ameryki i odwrotnie, mają tu swój kilkogodzinny przystanek. Nasz okręt również zarzucił opodal od brzegu kotwicę i potężnem gwizdaniem oznajmił miastu swoje przybycie.

Mały parowiec przywiózł nam nowych pasażerów, a po największej części emigrantów, którzy cisnęli się na pokład z żonami, z dziećmi, z pakunkami, z biedą i z nadzieją, że ową biedę utopiają w morzu w czasie podróży. Rozpoczęło się wyladowywanie pakunków i towarów z małego statku na wielki, przyczem rzucano pakami tak, iż zdawało się, że będą gwałtu krzyczały. Na małym parowcu znajdowało się także kilku przekupniów. Jakaś młoda dziewczyna, z ładnymi niebieskimi oczyma i koszykiem pomarańcz w ręku, wykrzykiwała w niebogłosy pochwały swego towaru, odpowiadając jednocześnie na dowcipy, jakie jej razem z szylingami przesyłano z wysokości naszego statku, który przynajmniej o trzy piętra przenosił przybyłego pigmejczyka. Był to widok bardzo ożywiony: majtkowie, wypakowujący kufry, krzyczeli i klęli, dziewczyna rzucała z dołu gradem swoje pomarańcze, nie pytając się, czy ich kto chce czy nie chce, młodzi zaś dżentlemani rzucaли jej pieniądze, za którymi latała po całym pokładzie, śmiejąc się i tańcząc. Czasem ciskano jej i skórki pomarańczowe, które chwytala z równie dobrym humorem i wesołością.

Wreszcie mały parowiec wysadził wszyst-

kich swoich podróżnych i pakunki, poczem zabrał listy z naszego statku, wrzasnął w niebogłosy i odplynął. Nie było podróżnego, któryby nie przesłał listu na ląd; kto bowiem puszcza się wiosenną porą na Ocean, nigdy nie może powiedzieć, czy będzie jeszcze oglądał tych, których żegnał; każdy więc pragnie przesłać choćby jeszcze jedno małe: „*addio*“, »pamiętaj, póki nie zapomnisz!« lub: »pisuj do mnie na Berdyczów!« Wszystkie twarze były poważne i uroczyście, a kto nawet nie miał powagi i uroczystości w duszy, ten starał się ubrać w ich pozory. Ludzie lubią takie położenia, jakie w zwyczajnem życiu widuje się tylko w operach. Zresztą, puszczać się na Ocean, każdy głupiec wydaje się samemu sobie poetycznym i co najmniej Child-Haroldem, a zatem:

„Bywaj mi zdrowy, kraju kochany!“

Istotnie, świsnęły wiatry, zaszumiały bałwany, zaświegotało morskie ptactwo; »Germanicus« podniósł kotwicę i po chwili chwiał się już na ogromnych falach Oceanu. Podróżni poczynają biegać po całym statku, zaglądać wszędzie, przypatrywać się każdej jego śrubce; potem upewniają się wzajemnie, że nie masz nie-

bezpieczeństwa. Każdy mniej więcej w strachu, a wszędy słyhać następujące rozmowy:

— Ależ to statek, daj go katu!

— Ho! panie, on bije wszystkie Cunary.

— Na tej linii nie było jeszcze żadnego wypadku.

— I pewno nie będzie: mamy przewyborną pogodę.

— Widziałeś pan sternika? Stary wilk? co?

— Mówią, że i nasz kapitan bardzo doświadczony marynarz. On podobno woził królową.

Nieprawda, nikt nie mówił, że nasz kapitan jest doświadczony marynarz i że woził królową, ale zadający to pytanie jest w strachu, zadaje je więc dlatego, że ma nadzieję, iż mu kto na nie odpowie twierdząco. Zresztą pogoda istotnie trwa, statek kołysze się niewiele, wszyscy więc nabierają zaufania, niektórzy nawet objawiają głośno, że gotowi są zrozumieć wszystko, ale nie rozumieją obawy morza.

Statek swoją drogą się kołysze, tylko jest tak wielki, iż tego nie czuć. Stojąc jednak ku tyłowi okrętu, można doskonale dostrzedz, jak przód jego to zsuwa się po pochyłości wodnej na dół, to znowu podnosi się ociężale do góry. Za statkiem leci kilkanaście mew, które raz

wraz rzucają się na wodę, gdy z kuchni okrętowej wyrzuca coś przez okno.

Około godziny pierwszej po południu, w salonie jadalnym i po korytarzach, gdzie są kajuty, odzywa się barbarzyński głos *gongu*, czyli *tam-tama*, zwołujący podróżnych na *lunch*. Siadamy do stołu. Tu znowu rozpoczyna się dla mnie bieda z angielszczyzną. Nie rozumiem jadłospisu i nie wiem co sobie kazać dać jeść. Przychodzi stewart, czyli lokaj okrętowy. Jest to stara i wyschła jak wosk mumia, ubrana we frak i biały krawat. Mumia ta staje nade mną, zamyka oczy, otwiera usta, pokazuje żółte zęby i zaczyna coś mówić, a raczej skrzypieć mechanicznie, jak blaszana chorągiewka, którą porusza wiatr. Niewiele myśląc, pokazuję jej na karcie jakąś potrawę, której nazwa angielska podobala mi się więcej od innych z powodu swego brzmienia. Mumia odchodzi, następnie powraca i przynosi mi morele. Chciałem zupy, wszyscy jedzą zupę, ale cóż robić? Zabieram się do moreli.

Po morelach nieubłagany los zsyła mi ser, po serze pomidory, po pomidorach tartą bułkę. Zjadam to wszystko; na deser zaś dowiaduję się, że siedzący koło mnie podłotek umie po

francusku i że mógł mi służyć za tłumacza w moich utrapieniach. Zamawiam więc sobie jego pomoc i łaskę na przyszłość, poczem lunch kończy się i wychodzimy na pokład.

Już wstając od obiadu, uczulem, że wiatr musiał się zwiększyć. Idąc wzdłuż stolów ku drzwiom tego ogromnego salonu, oświetconego przynajmniej trzydziestu okrągłymi oknami, trzeba się było niekiedy chwycić krzeseł, które są przymocowane do podłogi, ale mogą się obracać. Na pokładzie zastaję już liczne grono podróżnych, którzy przypatrują się sobie wzajemnie i próbują rozmawiać, oczywiście nie o czem innem, tylko o pogodzie, a rozmowa ta na statku bynajmniej nie jest tak czczą i bląhą, jak na lądzie.

Ale tymczasem statek zaczyna się coraz lepiej kołysać. Po upływie półgodziny jedna z dam, która dotąd rozmawiała najweselej, nagle wstaje, spogląda obłąkanemi oczyma naokoło, mówi przygnębionym głosem: »O Boże! Boże!« poczem zbiega szybko po schodach na korytarz, prowadzący do kajut. Za nią wkrótce podąża druga i trzecia, po nich mężczyźni; pokład staje się coraz pustszy; nakoniec na pobojuwisku zostaje tylko kilka osób trwalszej natury, między któ-

rymi liczę się ja, mój towarzysz, jakiś doktor z rudymi faworytami i młoda para amerykańska: mąż podobny do Otella, żona do anioła.

Zabieramy z sobą znajomość. Na szczęście, i doktor i młoda para umieją po francusku. Oczywiście rozmawiamy tylko o morzu i przypadłościach żeglugi. Po niejakej chwili Otello pyta mnie:

— Pan dużo podróżował po morzu?

— Jadę pierwszy raz, ale dotąd nic mi nie jest. A pan?

— O! ja znam się z morzem, i moja żona także.

— Ależ zaczyna się kołysać nie na żarty!

— To mnie mało obchodzi — odpowiada Otello, a po niejakej chwili dodaje:

— Myślę jednak, że musiałem zjeść coś niezdrowego...

— Istotnie uważam, że pan pobladł.

— O! ale to przejdzie. Tu na pokładzie najlepiej... ani myślę schodzić na dół!

— Noc będziemy mieli piękną?

— Bardzo piękną... Niezawodnie zjadłem coś niezdrowego.

— Świeże powietrze pana wyleczy.

— Jednakże...

Tu Otello składa tak niezbite dowody, że musiał zjeść coś niezdrowego, iż nie pozostaje mu nic, tylko zejść na dół i położyć się do łóżka. Na pokładzie zostaje nas troje. Poczynam jednak czuć zawrót głowy, ale zapalam cygaro które przynosi mi ulgę. Doktor rozmawia z moim towarzyszem, ja z młodą lady. Uważam jednak, że zaczynam głupieć, skutkiem czego rozmowa nie klei się, jakkolwiek młoda lady jest bardzo ładna. Tymczasem zaczyna ściemniać się; majtkowie ściągają wielki żagiel na przodzie okrętu i, ciągnąc w kilkunastu linę, wołają żalonym głosem: »Ooo! ho!«

— Pójdziemy zobaczyć — mówi do mnie młoda lady.

Idziemy tedy zobaczyć; ale w pół drogi, lady zatrzymuje się i spogląda na mnie tak szczególnym wzrokiem, że krew rzuca mi się do twarzy. W jej oczach widać czułość i omdlenie, policzki jej bledną i rumieniają się, chce coś mówić, i jakby nie śmie, ale przewraca oczyma, jak heroina na scenie. Boże wielki! co to się znaczy? myślę sobie...

Czyżby?.. ale nie, to byłoby zbyt nagle, zbyt po amerykańsku. Jednakże!..

— Panie... — szepcze słabnącym głosem młoda lady.

— Pani! dwie dusze jak nasze...

— Oh! oh! — przerywa młoda dama.

— Dwie dusze jak nasze...

— Śliwek, śliwek jak najprędzej!

Wiadro zimnej wody, wylane na głowę, nie ostudziłoby mnie tak skutecznie, jak to jedno małe słowo: »śliwek!« Jeszcze w Liverpoolu wdowa Clynton mówiła mi, że najdzielniejszym lekarstwem na chorobę morską są suszone śliwki. Więc to ten powód? Oby Ocean pochłonął wszystkie śliwki z obu półkuli ziemskich! Ja myślałem... Ale cóż robić? Biegnę tedy do stewarty po śliwki i po chwili wracam z pełnym talerzem: młodej lady nie zastaję już jednak na pokładzie.

Tymczasem chiński *tam-tam* daje znać, że czas na obiad. Karmią nas wspaniale, ale do obiadu nie siada już ani pół tyle osób, co do południowego lunchu. Mojego podlotka niema także. Po prawej stronie ode mnie siedzi natomiast jakiś kapitan okrętowy, którego statek rozbił się na brzegach Anglii. Jest to człowiek dwa razy grubszy od zwykłego chrześcijanina; ale ta bryła loju mówi nadzwyczaj cienko i je

tyle, że połowa tego wystarczyłaby dla całej zalogi okrętowej. Rzekłbyś: jest to waliza, służąca za skład żywności. Apetyt ten jedna mu szczególniejsze poważanie w oczach naszej starej mumii, która usługuje mu dwa razy staranniej, niż mnie.

Obiad trwa w milczeniu i kończy się w milczeniu, przerywanem tylko skrzypieniem filarów, podpierających sufit *dining-roomu* i służących zarazem za szafy do książek; czasem znów fala z loskotem zalewa okna, to z prawej, to z lewej strony salonu. Wszystkie twarze są smutne i blade. Siedzący naprzeciwko kapitana jakiś dżentleman uderza szklanką o stół i mówi:

— Pomorek na taką pogodę!

— Pogoda jest piękna, — piszczy cienkim głosem waliza — ale w nocy lub jutro rano będzie burza.

Potem napelnia usta połową ogromnego homara, i twarz jej przybiera wyraz nieopisanego szczęścia.

Uważam, że na dole, w salonie, daleko mi się więcej w głowie kręci, niż na górnym pokładzie; uważam także, iż umysł mój z każdą godziną tępieje coraz bardziej; dlatego natychmiast po czarnej kawie wybiegam znowu na

pokład. Ciemno jest już zupełnie. Silny wiatr łopocze w żagle, na całym okręcie słychać żalosne: »Ooo — ho!« majtków. Ocean zaś szumi złowrogo. Z mroku i z oddalenia dobywają się jakieś, jakby ogromne a smutne jęki i westchnienia. Fala za falą uderza ciężko o wysokie boki statku, który zdaje się stękać, ale płynie naprzód. Jest to widok wspaniały, choć złowrogi. Ta ciemność i nieskończona przestrzeń wodna ma w sobie coś mistycznego. Umysł przeraża się ogromem, który go otacza i wije w sobie; dusza odczuwa wrażenia, ale niemi nie włada. Chwilami zdaje mi się, że z ciemności ktoś zawołał na mnie po imieniu. Gubię wzrok w przestrzeni i próbuję myśleć i wspominać, ale nie klei się: własne moje myślatka wydają mi się rozproszone, blahe, zwietrzale i tak marne, jak nigdy; na stosunki, którymi zajmowałem się jakby wielkimi sprawami w rodzinnem mieście, mimowoli spoglądam niby przez odwrotny koniec lunety. Przychodzi wreszcie zapomnienie i utrata świadomości: zlewam się z otoczeniem i przestaję istnieć odrębnie. Dla zmęczonych ludzi ma to taki urok, jak bardzo głęboki sen, albo jeśli kto nawet woli: śmierć. Żalosne »Ooo — ho!« majtków rozlega się ciągle: ciągną tam znów

jakieś liny, a w pomroku widzę czarne ich sylwetki, pochylające się i prostujące jednocześnie. Wielkie kominy zaczynają wyrzucać deszcz czerwonych i złotych iskier; na przednim maszcie wiszą latarnie, które to zniżają się, to podnoszą w takt ze statkiem. Wnętrze okrętu pełne jest światła. O godzinie dziesiątej schodzę na dół, ale po drodze wstępuję jeszcze do *smoking-room'u*, to jest do pokoju przeznaczonego dla palaczy. Kilkunastu dżentelmanów siedzi tu naokoło na kanapkach pod ścianami, z nogami pozakładanymi na stół i kapeluszami ponasuwanymi na tył głowy. Niektórzy grają w karty, inni spluwają nadzwyczaj celnie i daleko w ogromne fajansowe spluwaczki, których pełno stoi na podłodze. Atmosfera zadymiona, cały zaś pokój ma pozory knajpy niemieckiej, w której ludzie dla wygody zdejmują buty. Żal mi się zrobiło mojej ciszy i samotności na pokładzie, ale wracać tam było już zbyt późno; dlatego zeszedłem do kajuty...

Kajuta nasza jest to mały pokoiik, mający nie więcej niż cztery łokcie kwadratowe przestrzeni; przy jednej ścianie przymocowane są, jedno nad drugim, dwa łóżka, a raczej dwie głębokie szuflady z wysokimi bokami, które nie

pozwalają wypaść śpiącemu w czasie kołysania się statku; przy drugiej ścianie stoi czerwona aksamitna sofka, między sofką a łóżkiem umywalnia — i oto wszystko. Cała kabina schludna, wykwintna nawet, ale mała. Dama, któraby, jak mówi pan Dickens, w skutek skromności niewieściej spodziewała się znaleźć w kajucie tylko dwie ogromne szafy na suknie, zawiodłaby się srodze. Za ledwo tu można się obrócić, a rozbiierać się inaczej niepodobna tylko po kolei. Wiele osób, zwłaszcza pierwszej nocy na morzu, nie rozbiiera się wcale. Istotnie, kładąc się spać, doznaje się dziwnego uczucia na myśl, że pod sobą ma się niezmierną głębie, naokoło nieprzebyte pustynie wodne; jest się na statku, który mimo swej wielkości i mocy, jest tylko piłką, rzucaną falami olbrzymiego Oceanu. Człowiek mimowoli sobie mówi: jeżeliby można postawić dziesięć za tem, że jutro się obudzę, przynajmniej dziewięć możnaby trzymać za tem, że się jutro nie obudzę.

Cóż jednak robić? Jeżeli przyplynie góra lodowa, jeżeli kocioł pęknie, zdarzy się pożar na statku, tak samo zginę ubrany, jak nieubrany. Tymczasem sen skleja powieki, głowa, w której fale wstrząsały mózg przez cały dzień, cięży;

idzie się zatem spać, rozumiejąc: co jutro będzie, nie wiem; że mi się chce spać, wiem.

Noc jednak przeszła spokojnie, to jest bez żadnego nadzwyczajnego wypadku. Nazajutrz rano jednak, do *brekfestu* siadło znowu dwa razy mniej osób, niż wczoraj do obiadu, a twarze były jeszcze więcej pomartwione. Jedzono tylko śliwki i kaszę jaglaną z mlekiem. Statek się kołysał bardziej niż wczoraj, a poważna twarz kapitana zdawała się mówić, że będzie raczej gorzej niż lepiej.

Wyszedłem na pokład. Dzień był ponury, szary, wietrzny. Mewy rzucały się w powietrzu, fale zaś były rozigrane. Trudno się było utrzymać na nogach. Naokolo statku piętrzyły się takie bałwany, w jakich istnienie trudno uwierzyć. Zawsze uważałem za przesadę, gdy opowiadano mi dawniej, że fale morskie dochodzą wielkości domów; teraz przekonałem się, że istotnie jest to przesada, ale *in minus*. Otaczały nas po prostu góry wodne. Chwilami zdaje się, że cały statek razem z tobą znajduje się w bardzo głębokiej dolinie, zamkniętej górami, przewyższającą o wiele, tak np. o dziesięć razy, szczyty masztów. Nagle dolina zaczyna się zmniejszać z przerażającą szybkością, a góry lecą ze

wszystkich stron na statek, rycząc jak wściekłe. Przymykasz oczy i mówisz sobie w duchu: »Jak się macie, ryby!« — przysięgłbyś bowiem, że żadna siła ludzka nie wyrwie już statku z tego przeklętego lejka, na którego dnie zostanie, pokryty warstwą wodną, grubą na kilkadziesiąt sążni. Po chwili jednak, cóż się stało? Oto otwierasz znów oczy, i widzisz się teraz na wierzchołku góry, przed tobą zaś przepaść, do której zlatujesz po linii prawie prostopadłej. W ten sposób jechaliśmy cały dzień.

— Czy to jest burza? — pytam jednego z majtków, umiałem bowiem ten frazes po angielsku.

— Nie, to nie burza — odpowiada majtek; — czas jest piękny.

Przekleństwo na twoje oczy! Jeżeli to jest czas piękny, cóż wy tedy nazywacie burzą? On to nazywa czasem pięknym! Jeżeli nie utoniemy, to chyba dlatego, że ty i twoja załoga będzie wisiała, co zaś ma wisieć, to nie utonie. Tymczasem fale zalewają nawet górny pokład, tak, że trzeba zejść na dół. Przy samych schodach spotykam doktora z rudymi faworytami, który pochyla się nade mną i krzyczy, żeby przekrzyczeć szum morski:

— *Comment ça va, monsieur!?*

Jestem tak pognębiony, że nietylko nie odpowiadam doktorowi, ale nie mogę trafić do schodów. Nie choruję, ale czuję zawrót głowy i ogłupienie posunięte do tego stopnia, że gdyby to był stan normalny mego umysłu, mógłbym odznaczyć się nawet w kólkach ultrakonserwatywnych *à tout prix*. »Trzymałem się za coś — mówi w podobnem położeniu pan Dickens: — może to był komin od pieca, może majtek, ale może i krowa.« Ja wiem, że nie mogłem trafić do schodów.

— Patrz pan! — wola doktor: — ja się niczego nie trzymam, ja mogę teraz przechadzać się po pokładzie.

— Jak to? — jęknąłem — pan nie upadnie?

— *Je suis trop vieux marin pour cela!* — odpowiedział, i w tej chwili zobaczyłem nagle jego nogi w tem miejscu, gdzie była głowa, co mi dowiodło, że nietylko przechadzać się, ale może nawet przewracać koziolki.

Prawdziwa burza rozszalała jednak dopiero wieczorem, chociaż wiatr wzmagał się przez cały dzień. Kiedy nadeszła chwila *lunchu*, położono na stolach poręczce, inaczej bowiem wszystko by z nich pozlatywało na ziemię. Nic za-

bawniejszego, jak widzieć gości idących wzdłuż stolów na swoje miejsca i taczających się, jak pijani. Wchodzi naprzykład jakiś pastor prezbiteryański, a może kwakier. Ale zaledwie ukazał się we drzwiach i puścił się klamki, rzuca się w największym impecie na kominek, jakby tam spostrzegł coś takiego, na co poprzednio czatował; następnie odbija się od kominka, uderza o krzesło, chybia poręcz, którą chciał uchwycić rękoma, odbija się od krzesła, wpada w objęcia jakiejś panny, porywa ją za głowę, poczem siada na podłodze, wywiesza język i poczyna pisać konającym głosem: »Oj! oj!«

Lunch, mimo przegródek i poręczy na stołach, mamy tańczący, gdy bowiem statek położy się na lewym boku, wszystkie półmiski, talerze, szklanki, karafki, noże, widelce, zsuwają się z brzękiem, szczękiem, hałasem i tarasem na lewą stronę, po chwili znów na prawą, i tak ciągle. Stewardowie posługują nam, chodząc w ten sposób, że tworzą z podłogą kąt ostry; zupa wylewa się z talerzy, woda ze szklanek, wino z kieliszków; panie poczynają krzyczeć, panowie kłać bez względu na obecność dam; słowem, powstaje nieopisane zamieszanie, i połowa osób opuszcza stół przed czasem.

Obiad odbywa się tak samo, jak *lunch*. Co większa, przy obiedzie niema kapitana, co poczytują za zły znak. Jakoż przy czarnej kawie, wyraz: „*Storm! storm!*“ (burza! burza!) rozlega się po całym salonie, na korytarzach i w kajutach. Burza istotnie rozpoczyna się. Mimo mego godnego politowania stanu, chcę ją widzieć, i ubrawszy się w gumowy płaszcz z kapturem, wychodzę na pokład, a raczej wylażę na czworakach. Wieher jest tak silny, że trzymając się obiema rękoma poręczy, zaledwie mogę ustać na nogach. Chwilami woda oblewa mnie od stóp do głowy. Morze zdaje się być pomieszane z chmurami, chmury z morzem. Patrząc na to, nie mogę opędzić się myśli, że Ocean się wściekł. Ale właśnie ta jego wściekłość ślepa i głupia budzi ku niemu rodzaj pogardy. Huczy, ryczy, ciska się, opluwa niebo pianą, miesza się z powietrzem, słowem: szaleje. Nie przystoi to ani jego ogromowi, ani majestatowi, tembardziej, że złość ta wydaje się nie mieć żadnej przyczyny. Wściekł się i kwita, tak, jak wpada czasem bez powodu w szaleństwo słoń. To wyuzdanie się ślepych sił, ta przemoc brutalna, skierowana przeciw statkowi, który w porównaniu jest atomem, budzi w tobie chęć oporu i gniew. Chciał-

byś zaciąć zęby, chwycić w rękę topór i z iskrzącym wzrokiem czekać na tę olbrzymią hałastę wiatrów, piany, fal, wściekłości, zaślepienia, ryczącej orgii i przemocy. Postępek Kserksesa, który kazał wychłostać fale, wydaje się wówczas zrozumiałym. Zwierzę potrzebuje bata. Jeżeli tylko nie jesteś z natury tchórzem ostatniego rzędu, mówisz wówczas Oceanowi: »Rycz, wyj, wściekaj się — drwię z ciebie!« Jest w tem wszystkim nawet pewna rozkosz, bo wobec podobnych uczuć największa nawet wściekłość staje się bezsilną.

O północy burza doszła do swego *maximum*. Statek prawie nie odpłynął naprzód, ale rzucił się tylko od chmur w przepaść i odwrotnie. Nie było już widać nic prócz chaotycznej i wścieklej mieszaniny nieba, wody, powietrza, wichru i ciemności. Wiatr uderzał czasem jak młotem, czasem zakręcał jak świdrem, słowem: pastwił się nad falami i statkiem. Tumany kropeł wodnych uderzały co czas jakiś o moją twarz i kręciły się w powietrzu, jakby słupy dymu. Ogromne masy wody wpadały co chwila na pokład lub przelatywały przezeń na drugą stronę. Musiałem się trzymać ze wszystkich sił, aby nie być splókanym.

Nagle spostrzegłem, że ktoś stoi koło mnie, również w gumowym płaszczu i kapturze. Był to mój towarzysz. Próbowaliśmy mówić, ale niepodobna było ust otworzyć, wiatr bowiem wbił nam napowrót aż w gardło słowa. Podróżni wszyscy pochowali się w kajutach, tak, że na pokładzie byli tylko majtkowie.

Cała załoga, prócz palaczów, była na górze. Majtkowie to ciągnęli liny, to czepiali się drabin, to związywali nowymi sznurami żagle, biegnąc, krzycząc, klnąc, lub powtarzając swoje żalosne: »Oo-ho!« W ciemnościach, wśród wichru i huku fal, rozlegały się ostre głosy świstawek mieczmanów, które dla majtków są słowami komendy. Głosy te nie ustawały ani chwili. Walka w takich razach trwa dopóty, dopóki burza nie zmęczy się, nie wydmucha, nie wypluje wszystkiej piany, nie ochrypnie i nie uzna się za zwyciężoną.

Koło godziny pierwszej po północy zesliśmy wreszcie na dół, zmienili odzież i bieliznę, przemoczoną mimo gumowych płaszczów do nitki, następnie rozebraliśmy się i położyli spać. Ale cała noc była niespokojna. Chwilami trzeba się było trzymać, żeby nie wylecieć z szuflady. Statek kołysał się tak, że leżąc w łózkach, nie-

kiedy znajdowaliśmy się w pozycyi stojącej: dobrze gdy na nogach, gorzej gdy na głowie. Futro wiszące na przeciwległej ścianie od mojego łóżka, nagle spostrzegłem wiszące wprost nade mną. Kufierki nasze i buty latały po całej podłodze i po ścianach, bijąc z łoskotem w przepierzenia. Torby podróżne, zawieszane na hakach, wily się w powietrzu, jakby je ktoś okręcał.

Okolo drugiej, w kajutach, leżących bliżej schodów, rozległ się krzyk. Sądziłem, że stał się jakiś wypadek, tembardziej, że w tej samej chwili usłyszałem wodę, płynącą z szelestem w wewnętrznym korytarzu. Rozbudzili się wszyscy; okrzyk: »Woda! woda!« zabrzmiał w całym wnętrzu statku; kobiety poczęły wrzeszczeć na różne tony lub biegać po korytarzach w kostiumach, których prostoty najprostszy opis nie byłby w stanie oddać. Wreszcie nadszedł młody miczman, cały mokry, z twarzą zarumienioną walką, i oświadczył damom, że woda nader zwyczajnym sposobem dostała się przez schody na korytarz, i że niema żadnego niebezpieczeństwa.

Nazajutrz z rana morze jeszcze było wzburzone, ale wiatr już ustał, koło południa zaś

uciszyło się i morze. Mnóstwo osób przyszło na *lunch*. Żartowano i śmiano się z wczorajszego przestרחu. Opowiadano przytem zabawne dykteryjki o różnych psotach, jakich w czasie nocy narobiła burza. Oto przepierzenia, rozdzielające kajuty, nie dochodzą do samej podłogi, mnóstwo więc drobniejszych rzeczy przesunęło się, skutkiem kołysania się gwałtownego statku, z jednych kajut do drugich. Wyobraźcie więc sobie zdziwienie i wściekłość naszego Otella, gdy wstawszy nazajutrz rano, spostrzega w kabini Desdemony nie swoje pantofle i... — mamże wyznać? — jeszcze inne części męskiej garderoby w paski czy w kratki! Oczywiście Otello poczyna ryczeć, Desdemona klnie się na swoją niewinność i blaski srebrnego księżyca, że nie wie o niczem; pastor zaś w sąsiedniej kajucie nie może iść na *lunch*, i każe sobie wydobywać kufer z dna okrętu. Stewart odnosi mu wprawdzie po chwili zagubione rzeczy, ale wielebny uważa je za sprofanowane i woła o kufer z dna okrętu; gdy mu zaś oświadczają, że kufra wydobyć niepodobna, przepowiada za rok koniec świata i ubiera się w swoje dawniejsze.

Oczywiście, w anegdocie tej niema niezawodnie i słowa prawdy, ale opowiadają ją wszyscy.

Pogoda i spokojne morze dziwnie wpływają na wesoły humor podróżnych. Spostrzegam mnóstwo osób, których nie widziałem dotąd wcale. Ubiory kobiet są staranniejsze, niż kiedykolwiek. Po *lunchu* i czarnej kawie następuje przechadzka na pokładzie; znajomości robią się łatwo. Małe ploteczki krążą z ust do ust. Chwilami zdaje mi się, że jestem gdzieś na wodach zagranicznych; gdyby zaś nie język angielski, i gdyby nie brak podziału na arystokrację i demokrację, sądziłbym, że się przechadzam na szczawnickim deptaku, lub pod ciechocińskimi tężniami.

Ale podziału na arystokrację i demokrację niema, towarzystwo bowiem jest przeważnie amerykańskie. Jakkolwiek towarzystwo to składa się z ludzi, którzy podróżowali po Europie, zatem bogatszych i oglądzonych, ogląda ich jednak nietylko nie wyrównywa europejskiej, lecz nie odpowiada nader skromnym wymaganiom. Do stołu niektórzy z tych panów siadają w czapkach; pewien dżentleman, siedzący naprzeciw konsulowej francuskiej z San Francisco, codziennie pod koniec obiadu zdejmuje buty, oświadczając z całą dobrą wiarą, że tak mu jest wygodniej, i namawiając innych, aby poszli w jego

ślady. Po obiedzie niektórzy z podróżnych zajmują się czytaniem pism illustrowanych i nie czytają ich nigdy inaczej, jak z nogami pozakładanemi na stół. Amerykanie w ogóle przedstawiają się szorstko, nawet twarze ich o rysach grubych, pospolitych i gminnych, zdradzają odrazu brak tego poloru i wykwińtości, która uprzyjemnia życie towarzyskie i czyni miłymi stosunki nawet między ludźmi nieznanymi sobie nawzajem.

Bardzo niewiele osób mówi po francusku, te zaś, które nawet mówią, gryzą francuskie wyrazy, jak twarde orzechy, i można powiedzieć, że nie wymawiają ich, ale wypluwają raczej, jak coś bardzo niesmacznego. Otello i piękna Desdemona wracają wprost z Paryża, w którym przepędzili miodowe miesiące, dlatego oboje najwięcej mają dystynkcyi i są najrozmowniejsi. Mamy prócz tego wiele innych ciekawych typów. Prócz doktora z St. Louis, z Missouri, który jest kłamcą pierwszej wody, i mego sąsiada obiadowego, kapitana, który po dawnemu pochłania przy każdym daniu nieprawdopodobne ilości pokarmów, uwagę moją zwróciła pewna para kwakerska. Oboje są chudzi, milczący, posepni, starzy. Jego twarz o za-

padłych policzkach i wytrzeszczonych, jakby z powodu solitera oczach, jest typem twarzy hypokryty i łakomecy; ona ma fizyognomię kwaśnej dewotki, wodzącej męża za nos i patrzącej na wszystko, co jest młodością, wiosną, uśmiechem i wesołością, ze stanowiska ogniów czyścowych.

Pod koniec obiadu, kiedy podają słodycze, oczy biednego kwakra przybierają wyraz nieopisanej pożądlivosti, a na twarz występują mu rumieńce. Radby jeść kompot, a nie chciałby iść do piekła, jednakże kręci się; łyżeczka w jego ręce drga niespokojnie, i nieszczęśliwy pożądliwym wzrokiem odprowadza każdą śliwkę, którą skazany na potępienie wiekuiste sąsiad jego niesie do ust; słowem: cierpi męki Tantala. Żona pogląda wówczas na niego złośliwie i słodkim głosem mówi ze wspaniałą ironią: «Pozwól sobie; dlaczegobyś nie miał sobie pozwolić? Zjedz śliwek, a o resztę nie dbaj!» Biedaczysko wzdycha i kładzie łyżeczkę na swoim miejscu.

Wśród podobnych spostrzeżeń i dopatrywań śmiesznych stron w moich sąsiadach upływa mi dzień za dniem. W końcu jednak podróż zaczyna mnie nudzić. Dzień podobny jest do dnia, jak rodzeni bracia: brekfest, przechadzka na

pokładzie; lunch, przechadzka na pokładzie; obiad, przechadzka na pokładzie, a potem spać. Zresztą wiecznie ten sam widok: ogromne, zielonawe balwany i przestrzeń pusta, na której krańcach gubi się wzrok; wiecznie te same kilkanaście mew za okrętem i żalosne »Ooo—ho!« majtków, zwijających lub rozpinających żagle. Nadchodzi niedziela, a jest jeszcze nudniejsza, niż dni poprzednie. Po śniadaniu stewardowie przynoszą kilkadziesiąt egzemplarzy Biblii i kładą je po stołach, Amerykanie zaś siadają i czytają ją, myśląc o czem innym i ziewając. Wszyscy są poważni i milczący, ale więcej w tem jest sztuczności i rutyny, niż prawdziwego nabożeństwa. Po skończonych modlitwach zakładają nogi na stół i siedzą w milczeniu, jak chińskie lalki.

Po południu zdarza się jednak wypadek, który jak iskra elektryczna wstrząsa wszystkich. Oto na widnokregu zjawia się okręt. Nic to wielkiego na pozór, ale wśród nudów i jednostajności jest to prawdziwa uczta dla instynktów gapiostwa, drzemających w każdej naturze ludzkiej. Wszyscy cisną się na pokład; patrzą to przez lunety, to przez szkła teatralne, to golemi oczyma. Wszędzie pytania, odpowiedzi i sprzecz-

ki: »To jeden z Cunarów? — To Alan! — Nie! to Somerya! — Alan! — Somerya! — Trzeba nie mieć oczu, żeby nie widzieć, że to Alan! — Dziwię się, jak można za Alana brać Someryę! — Zakład! — Zakład!« Powstają więc i zakłady. Wytrzeszczam oczy, ale oprócz dwóch słupów dymu nie widzę nic więcej. Nasz statek wywie-sza dwie chorągwie: jedną flagę angielską, drugą *White-Star*, to jest białą gwiazdę na czerwonym polu. Dwa słupy dymu zbliżają się coraz bardziej, wreszcie dostrzegam potężny biało malowany parowiec, wspinający się dzielnie na grzbiety fal i znaczący swą drogą srebrnym zapienionym szlakiem. Po chwili jednak statek przechodzi, zmniejsza się: oto wydaje się już jak łódka i wreszcie rozplywa się w sieniei dali.

W nocy z niedzieli na poniedziałek mieliśmy znów burzę, lubo nikt o niej nie wiedział, wszyscy bowiem spaliśmy doskonale, ani domyślając się, że braknie trzy ćwierci do śmierci. Wicher przygnał z północy dwie góry lodowate, które wzięwszy statek między siebie, płynęły jak dwa piekielne psy, tuż koło niego, grożąc mu w każdej chwili zgnieceniem na miazgę. Kapitan kazał pospuszczać żagle, zgasić ogień w maszynie, i zdał statek na wolę fal i wiatru. To jedno

ocaliło nam życie, bo od tej chwili statek miotany temi samemi, co i lodowe góry falami, nie zbliżał się już do nich. Świtaniem dopiero, gdy ucichło trochę morze, puścił się całą siłą pary i potwory piekielne zostawił w tyle.

— Co to było? Co to było? — pytano nazajutrz rano na okręcie.

— To była śmierć — odpowiadał kapitan Kennedy, głaszcząc ręką, podobną do wielkiej warząchwi, szpakowaty podbródek.

Niektóre damy chciały mdleć, jak gdyby miały ochotę wynagrodzić sobie dobrą sposobność, która już minęła. Kapitan wyrósł w naszych oczach na prawdziwego bohatera, i odtąd też nie traktowano go inaczej, chociaż poczciwy ten marynarz, pełen prostoty, ani rusz nie chciał i nie umiał się zgodzić na tak wysokiego polotu rolę. Trzeba jeszcze oddać sprawiedliwość, tak kapitanowi, jak oficerom i całej załodze, że są to ludzie dzielni, znający swoją służbę i swoje obowiązki na wylot, a przytem karni, spokojni i dla podróżnych uprzejmi bez granic.

»Germanicus« jest przytem jednym z najszybszych okrętów, jakie przebiegają drogę między Liwerpołem a New-Yorkiem. Jesteśmy z tego dumni, a ów patryotyzm *White-Star* staje się

między nami coraz wybitniejszym, jak gdybyśmy należeli do akcyonaryuszów tej linii. Drwić sobie z Cunarów należy do dobrego tonu. O wszelkich innych liniach wyrażamy się z politowaniem. Codziennie rano mnóstwo osób ciśnie się do tablicy, na której jeden z oficerów oznacza liczbę mil przebytych ubiegłej doby i zarazem oznacza ją linią na morskiej mapie. Nie płyniemy jednak tak szybko, jak to »Germanicus« umie, bo czas ciągle jest zły i żagle rzadko mogą pomagać parze. Podróż staje się coraz nudniejszą, jednakże mewy, lecące za okrętem, których ilość coraz się zwiększa, oznaczają, że zbliżamy się do lądu. Istotnie, jesteśmy na wysokości lawy piaszczystej, otaczającej New-Ffoundland, ale brzegów z okrętu nie widać. Po całych dniach wpatruję się z pomostu w morze; mówią bowiem, że w tych okolicach można dostrzedz czasem wieloryby. Fale jednak wydają się puste i niezamieszkane. Raz tylko potworna jakaś głowa wychyla się na chwilę z wody, ale nikt nie może poznać, do jakiego stworzenia należy.

Szóstego dnia mamy na okręcie koncert. Pogoda jest śliczna; przez grube soczewki szklane, stanowiące okna okrętu, wnikają czerwone pro-

mienie słońca. Koncert rozpoczyna mówka jakiegoś ogromnego gentlemiana z twarzą jowialną, który z niezachwianą powagą staje obok pianina i mówi:

— *Ladies and gentlemen!* Usłyszycie za chwilę jedną z najznakomitszych artystek na świecie: Miss N. Jeżeli nie słyszeliście o niej dotąd, to tylko dlatego, że jej skromność jest równie wielką, jak talent. Ameryka jednak chlubi się nią, Europa zgrzyta zębami z zazdrości. Dlatego radzę wam, żebyście cali pozamieniali się w tej chwili w uszy. Miss N. wykona etiudę, skomponowaną przez bardzo znakomitego dżentlemana Szopena. Słuchajcie! słuchajcie!

Miss siada do fortepianu i poczyna do tego stopnia fałszować Szopena, że nasze polskie uszy literalnie więdną; potem następuje grzmot oklasków, mówca zaś wstaje i mówi znowu:

— *Ladies and gentlemen!* Wiadomo wam, ile szkody w naszych zapasach żywności i kufrach robią niegodziwe szczury i myszy. Ale nadeszła godzina zemsty: oto jest najznakomitszy w świecie tenor M. Charli, który nieporównanym głosem swym wnet je tu wszystkie wystraszy. Zapewniam was, że każdy szczur stokroć razy będzie się wolał rzucić w nurty oceanu, niż

słuchać tej melodyi, którą będziemy się zachwycać za chwilę.

Nowy grzmot oklasków kończy przemówienie naszego oratora. Dają się słyszeć okrzyki: »Hip! hip!« M. Charli staje obok akompaniującej miss i poczyną śpiewać włoską pieśń: „*O fanciulla mia!*“ którą gdyby usłyszał jaki Włoch, dostałby niezawodnie pomieszania zmysłów. Trudno mi opisać i wypowiedzieć, jak mało zdolności muzycznych posiada anglo-saksońska rasa. Między kilkunastu śpiewakami i śpiewaczkami nie słyszałem ani jednego głosu, któregooby można słuchać bez zgrzytania zębami. Amerykanie byli jednak nadzwyczaj zadowoleni z siebie i ze swoich talentów. Pytali nas nawet z pewną dumą: czy słyszeliśmy coś podobnego w Europie? — ja zaś odpowiadałem z całą szczerością, że istotnie nic podobnego w Europie nie słyszałem.

Szósty ów dzień był dniem uroczystości na okręcie, po koncercie bowiem nastąpił obiad z najrozmaitszymi toastami. Między innymi mówca koncertowy wniósł bardzo uroczysty toast na cześć kapitana Kennedego. Mówca przypomniał, że winniśmy życie nasze i spokój naszych rodzin dzielnemu kapitanowi; gdyby nie

on bowiem, góry lodowe pograżyłyby nas niezawodnie w otchłań morską, poczem porównał Bogu duszę winnego kapitana do rozmaitych bohaterów starożytności, a w końcu wyraził opinię, że zgromadzone lady i dżentlemenowie uznają zapewne za słuszne i sprawiedliwe wykrzyknąć po trzykroć na cześć naszego kapitana: »Hip! hip! hurra!« Zgromadzone lady i dżentlemenowie uznali to za słuszne i przyzwoite, poczem nastąpiły okrzyki tak przeraźliwe, jak gdyby na statku zdarzył się pożar.

Pocziwego kapitana toast ten zaskoczył nader niespodziewanie, w tej chwili bowiem właśnie zapychał usta olbrzymim kawałkiem rumsteku; nim więc przestraszony rozum jego zdołał pojąć wszystkie owe porównania do starożytnych bohaterów i stanąć na wysokości położenia, trzeba było przedewszystkiem skończyć raz z rumstkiem i połknąć go choćby za jakąkolwiek cenę. Biedny więc bohater starożytny sponsował, oczy wyszły mu z orbit, rumstek utknął w gardle; wreszcie jeszcze z zapelnionemi ustami, oświadczył, że mu jest tak przyjemnie, jak gdyby wypił szklanekę grogu, że dziękuje wszystkim zgromadzonym, i że przeprasza, jeżeli rumstek był

twardy, ale że »kanalie kucharze musieli się upić« etc. etc.

Po tej wykwintnej mowie zanucono jeszcze pieśń narodową angielską: »Boże, zachowaj królową!« — co było dowodem wielkiej uprzejmości ze strony Amerykanów, i obiad się skończył. Nazajutrz z rana dowiedzieliśmy się z tablicy, że tego jeszcze dnia przybijemy do lądu. Na całym okręcie panowała nieklamana radość. Jakoż wszystko zwiastowało bliskość ziemi. Majtkowie przywdzieli nowe kaftany. Okręt cały wymyto starannie, każda jego śrubka błyszczała w słońcu, jak złota. Za masztami ulatywały całe stada mew, piszcząc i przewracając w powietrzu kociołki. Spotykamy coraz więcej okrętów: wielkie parowce, statki żaglowe, łodzie rybackie przesuwają się po cichem i przezroczystem zwierciadle wód, odbijając się w niem z masztami i żaglami. Ostry i zimny wiatr, który nieustannie dał na Oceanie, ucichł zupełnie, a twarze nasze całuje teraz słodki i ciepły oddech wiosenny. Woda jest srebrna, powietrze srebrne, spokój i słodycz rozlane wszędzie. Zbliżyliśmy się coraz bardziej. Nakoniec, na zachodnim krańcu widnokregu, zjawia się wydłużona sinawa chmurka.

— Łąd! ład! — wolają wszyscy.

Jakoż po malej chwili, na tle owej chmurki poczynają się rysować zielone i żółte piaszczyste wybrzeża, lasy masztów, spiętrzone dachy domów, śpiczaste wieże kościelne, białe mury: słowem, śliczne miasto, jak ongi Wenus, wynurzało się z morskiej kąpieli coraz dokładniej i coraz wyraźniej dla oka. Bywalcy odróżniają już New-York i Hoboken. Wpływamy do portu. Pogoda ciągle równie śliczna; przysiągłbym, że przybyliśmy do kraju wiecznej wiosny. Na gładkiej toni czerwone beczki, oznaczające mielizny, kołyszą się, poruszane leciuchnym powiewem. Statek nasz wywiesza znowu potężną flagę angielską i swoją własną, poczem zwalnia biegu i zaledwie sunie się po falach.

Tymczasem od malej wysepki, obok której przepływamy cicho, odrywa się mały, jak łupina orzecha, parowiec, na którym jedzie dwóch dżentlemenów i trzeci może ośmioletni, siedzący tuż obok komina na dachu kajuty. Są to lekarze z kwarantanny. Statek nasz staje. Spuszczają im drabinę, po której lekarze wchodzą pomiędzy nas, a tymczasem małoletni dżentlemen pokazuje nam z dołu język, i wywiesiwszy go aż po brodę, trzyma tak z pół godziny. Następnie

przewraca się na grzbiet, chwyta rękoma za palce u nóg i pozostaje w tej ultra-demokratycznej pozycyi przez cały czas rewizyi.

Rewizya nie trwa jednak długo, bo na statku niema nikogo chorego. Lekarze zamieniają parę słów z kapitanem i okrętowym doktorem, potem wykrzykują: „*All right*“ i odpływają napowrót, my zaś ruszamy dalej. Ale po małej chwili znowu: stój! Teraz komora. Przybywa nowy parowiec, również z dwoma dżentlemenami, ubranymi po cywilnemu, ale ze srebrnymi blaszkami na piersiach. Są to celnicy. Obaj mają twarze skończonych rzezimieszków; ubrani są przytem w wytarte surduty, brudną bieliznę i pogniecione kapelusze. Młodszy z nich, o popielatej cerze, kręconych blond włosach, siwych oczach, z których jedno jest szklane i osadzone na skówece, sterczącej mu w kącie oczowym koło nosa, ma minę takiego drapichrósta, że nie powierzyłbym mu dziesięciu centów. Dżentlemani ci schodzą do salonu i rozdają podróżnym kartki, czyli drukowane deklaracje, na których ci ostatni się podpisują. Kto się podpisze, ten tem samem składa przysięgę, że nie wiezie nic zakazanego, rewidują go też potem w porcie bardzo lekko, ale jeżeli co znajdą, karzą bardzo

surowo. Gdy przyszła na nas kolej, drapichróst ze skówką w oku podaje memu towarzyszowi kartkę i pyta go o nazwisko.

— Nazywam się tak a tak! — odpowiada mój towarzysz.

— Jak? jak? — woła, śmiejąc się, drapichróst — Tschchapischouschki?

Co to jest? Obecni Amerykanie wybuchają grubijańskim śmiechem, co nigdy nie zdarzyłoby się w żadnym ucywilizowanym kraju. Porzywa nas obydwóch złość.

— Czego te nieucywilizowane zwierzęta pokazują zęby? — woła do mnie głośno po francusku mój towarzysz.

Niektórzy Amerykanie, którzy zrozumieli powyższe słowa, poczynają się wstydzić i wymyślać swoim współziomkom, towarzysz mój zaś zwraca się do nich i pyta, pokazując palcem zmieszanego drapichrosta:

— Jakże się nazywa to indywiduum?

— *Your name?* — wołają na niego — *your name?*

Odpowiada: »Thrysley«, czy coś podobnego.

— Dobrze więc, — mówi mój towarzysz — powiedzcie temu frantowi, że gdyby w Europie kota ktoś tak nazwał, toby trzy dni miauczał.

— *All right! all right!* — wołają uradowani obecni.

Wkrótce potem zbliżył się ku nam jakiś poważny dżentlemen o siwiejącej brodzie i oliwkowej cerze, i oświadczył nam, że jeśli chcemy, to on postara się przez swoje stosunki, aby owego grubijańskiego celnika wypędzono. Nie żądaliśmy tego wcale, oświadczyliśmy jednak swoje zdziwienie, że w kraju, mającym pretensyę do cywilizacyi, mogą się tak ludzie zachowywać.

— Cóż panowie chcecie? — odpowiedział dżentlemen. — Pod względem uobyczajenia, nawet wyższe nasze klasy zostają daleko jeszcze za Europą. Zresztą od czasu, jak republikanie z naszym kochanym prezydentem utrzymują się przy władzy, wszystkie posady urzędowe obejmują podobne indywidua, które raczej powinny siedzieć za kratą. Mamy jednak nadzieję, że to się wkrótce zmieni.

Tymczasem wpłynęliśmy do bloku, w który okręt nasz wsunął się, jak w pochwę, i wysiedliśmy do wielkiego drewnianego budynku, w którym sprawdzają deklaracye, czyli rewidują rzeczy. Nowy jakiś celnik zbliżył się do nas i chciał otwierać nasze kufry, ale uwolniliśmy się od tego

tak, jak widzieliśmy, że uwalniają się wszyscy, to jest za pomocą dwóch dolarów, wsuniętych w rękę celnika. Wolny amerykański obywatel nie tylko przyjął łapówkę, ale pomógł jeszcze włożyć nasze rzeczy na fiakra; słowem, w tym kraju obywatelska prawota i cnota okazały się zaraz na wstępie dobrą względem dolara koczotką. Ale indykowi wszystko jedno, z jakim sosem ma być upieczony, gdy zaś zapytany o to odpowiedział, że wcale sobie nie życzy być upieczonym, odpowiedziano mu kwaśno: » Wycho- dzisz z kwestyi.« Otóż nie chcę naśladować tego indyka i ażeby nie wychodzić z kwestyi, po- wiem tylko, że zaraz na drugim kroku w New- Yorku obdarł nas woźnica; dalszymi zaś miały się opiekować hotele.

Miasto, które na pierwszy rzut oka z morza zarysowało się tak majestatycznie i wdzięcznie, widziane z blizka nie zachwyciło mnie wcale. Pobrzeże portu brudne, między drewnianymi budynkami niemasz bruków; wszędzie leżą kupy śmieci, doki drewniane połyskują brudną wodą, ludność zaś, jak zwykle ludność portowa, wygląda jakby przed chwilą urwała się od szu- bienicy. Takie było pierwsze moje wrażenie, ale zaledwo zdążyłem rzucić naokół okiem, fiakr

potoczył się ulicą. Ściemniało się. Wjechaliśmy na sławną Broadway: wystawy sklepowe były luną gazowego światła, czarna i biała ludność toczyła się na chodnikach, szeregi latarni ginęły w oddaleniu. Wreszcie fiakr stanął, wysiedliśmy i po chwili znaleźliśmy się w białym marmurowym przedsionku hotelu, ubranym w kwiaty, dywany, jaśniejącym tysiącami świateł. Tu mieliśmy zatrzymać się kilka dni, ażeby odpocząć i nabrać sił do nowej podróży, której kres miał być aż u fal Oceanu Spokojnego.

III.

Pobył w New-Yorku.

Marmury, brony, dywany, zwierciadła: oto hotele amerykańskie. W New-Yorku są to, obok banków i poczty, najpiękniejsze budynki miejskie. Prócz numerów przeznaczonych do najęcia, w każdym hotelu znajduje się mnóstwo ogromnych sal, gdzie goście mogą przyjmować swoich odwiedzających, i buduarów, urządzonych z książęcym przepychem, przeznaczonych dla kobiet. *Central Hotel*, w którym zatrzymałem się na parę dni, jest to, pod względem ogromu, prawdziwe małe miasteczko, prócz gości bowiem stałych i nocnych, mnóstwo osób z miasta zbiera się wieczorem w jego wspaniałym przedsionku na czytanie gazet, spotkanie się ze znajomymi, palenie lub żucie tytoniu, wreszcie dla pokolysania się na jednym z biegunowych krzesel, których tu mnóstwo.

Leży on na ulicy Broadway, największej i najruchliwszej ulicy New-Yorku, odznaczającej się szczególnie swoją długością. Wieczorem, gdy tu przybył, zwiedzać już miasta z powodu spóźnionej pory nie mogłem, musiałem więc zadowolić się tylko zwiedzeniem hotelu, poczem razem z towarzyszami udaliśmy się do *dining room'u*, t. j. do sali jadalnej.

Jest to istotnie ogromna sala, mogąca pomieścić kilkaset osób, urządzona z przepychem, ale bez smaku. Słupy podpierające sklepienie są murowane, ale zbyt grube i niskie, pulap za ciężki, wejście zaś jak do stodoly. Ogromne drzwi podwójne z okrągłym wierzchem przypominają zupełnie wierzeje.

Trzy razy dziennie schodzą się tu wszyscy mieszkańcy hotelu. Za jedzenie w hotelach amerykańskich nie płaci się osobno, ale koszta jego wliczone są w cenę numeru. Każdy z gości, wynajmujących numer, ma tu prawo przyjść pięć razy dziennie i jeść, co mu się podoba, bez żadnej osobnej dopłaty, większość jednak schodzi się tylko na brekfast, lunch i obiad wieczorny. Przy stole goście rozmawiają z sobą jak znajomi, co jednak nie pociąga za sobą bliższych stosunków. Po skończeniu posiłku wstają i roz-

chodzą się, dokąd kto chce, nie dziękując sobie wzajemnie za towarzystwo, jak również nie czekając jedni na drugich. Mnóstwo kobiet przychodzi bez mężczyzn, mnóstwo bowiem nawet panien podróżuje bez żadnej opieki. Wszystkie stroją się tak, jak nigdzie w Europie, wszystkie przychodzą bez kapeluszków; dlatego obiady, zwłaszcza wieczorem, wyglądają jakby obiady prozorne i nader ceremonialne. Służbie nie daje się tu nic. Składa się ona we wszystkich prawie hotelach wyłącznie z murzynów. Należy to do mody, a przytem kolorowa posługa zapewne taniej kosztuje od białej. Przy każdym stole stoi dwóch lub trzech murzynów, o głowach podobnych do głów czarnych baranów. Są to ludzie bardzo grzeczni, usługują szybko i wprawnie, wyglądają zaś we frakach i białych krawatach, jeżeli nie pięknie, to przynajmniej nader oryginalnie. Zresztą usługa tu nie jest trudna. Według zwyczajów amerykańskich, przed każdym z gości stawiają tu mnóstwo porcelanowych miseczek ze wszelkiego rodzaju jadłem odrazu. Masz przed sobą odrazu zupę, mięsiwa, ryby, jaja, pudingi, pomidory, kartofle, lody, poziomki, jabłka, migdały, kawę, słowem niezliczoną ilość dań w małych dozach. Zaczynają

skąd chcesz, jedz co chcesz, nikt tu na to nie patrzy. Murzyn stoi nad tobą, jak kat nad dobrą duszą, i ustawicznie dolewa ci wody z lodem do szklanki, skoro ją tylko wypijesz, odpowiadając niezmiennem: »Yes, sir!« na wszystkie twoje żądania. Skutkiem tego systemu w jeżdzeniu, wszystko tu jada się zimne, skrzeple, zdębiałe, nawet w najlepszych restauracjach. Kuchnia amerykańska jest najniegodziwszą kuchnią na świecie. Nie chodzi jej o to wcale, żebyś zjadł zdrowo i dobrze, ale o to, byś zjadł jak najprędzej i mógł wrócić do *business*; wszystko więc obliczone jest na *lap cap*, i tylko wieczorne obiady podają ci cokolwiek staranniej, wieczorem bowiem wszelki biznes kończy się z uderzeniem piątej godziny.

Pierwszego dnia przyjazdu, zamiast siaść w *reading room*'ie i zacząć pisać studia o obyczajach amerykańskich, jak to uczyniła pewna korespondentka do jednego z pism warszawskich, która odrazu, przez cudowną prawdziwie intuicyę, obyczaje te zgłębić potrafiła, wyszedłem na miasto przypatrzeć się choćby przelotnie wszystkiemu. Prawda, że w nocy nie doznałem tak silnych wrażeń, jak rzeźzona korespondentka, której wystrzaly rewolwerowe

strzelających sobie we lby Amerykanów oka zmrużyć nie dały, nietylko pierwszej, ale i następnych nocy jej pobytu w Stanach Zjednoczonych. Co do mnie, spałem tak spokojnie, że mimowoli przychodzi mi wątpić, aby te ustawiczne nocne odgłosy, które słyszała korespondentka, miały istotnie tak tragiczne znaczenie; nie przesądając jednak ostatecznie tej kwestyi, odrazu wyszedłem na Broadway i puściłem się na miasto.

New-York jednak nietylko nie zachwyił mnie, lecz rozczarował potężnie. Każde z europejskich miast ma jakąś swoją osobliwość, którą istotnie widzieć warto: Paryż ma ich tysiące, Londyn również, Wiedeń ma swego Stefana, Berlin ma swego Kaulbach'a, Bruksella Wiertz'a i św. Gudulę, Wenecya swoje kanały, Rzym Papieża i Rzym starożytny, Kolonia tum najpierwszy na świecie, Kraków Wawel i Matejkę, Warszawa dobre chęci, któremi jest brukowana, wielkich ludzi do małych interesów, najdłuższe na świecie języki, Saski ogród i dobro społeczne w kształcie dziurawego orzecha, na którym świszczę kto chce i jak mu się podoba. Wszędzie jest jakaś tradycya, wszędzie z murów patrzy na ciebie, jeśli nie czterdzieści wieków,

jak było raz powiedziane na pewnym obiedzie dla jednego z jubilatów warszawskich, to przynajmniej kilkanaście; wszędzie widzisz historię zakrzeplą w mur i kamień, wszędzie pewną odrębność narodową, wszędzie jakiś wielki ideał, którego początek w mrokach przeszłości. W New-Yorku niema tego wszystkiego. Główne ciekawości miasta — to hotele i banki, czyli inaczej mówiąc: niema tu żadnych pamiątek historycznych, żadnych ciekawości. Historii Stanów Zjednoczonych szukaj w Waszyngtonie; w New-Yorku masz tylko kupców. Handel, handel i handel, business i business, oto co widzisz od rana do wieczora, o czem ustawicznie słyszysz i czytasz. Na rzut oka, nie jest to miasto, zamieszkane przez taki a taki naród, lecz wielki zbiór kupców, przemyslowców, bankierów, urzędników, kosmopolityczny zarwaniec, który imponuje ci ogromem, ruchliwością, przemysłową cywilizacją, ale nuży cię jednostronnością społecznego życia, nie wytwarzającego nic więcej prócz pieniędzy. Chcąc opisać to miasto, nie wiedzieć od czego zacząć, gdzie zaczepić myśl i oko; jedna ulica podobna do drugiej, wszędzie ruch, gwar i ścisk, tłumy powozów i omnibusów; mieszkańcy śpieszą się z gorączką na twa-

rzy i w ruchach, jak gdyby mieli pomieszanie zmysłów. Pośpiech ten widzisz wszędzie: w budowie domów, ulic, chodników. Jedno zrobione i doprowadzone do możliwej doskonałości, drugie zaledwie poczęte. Oto np. Broadway: domy tu podobne do londyńskich, obok hotelu, zbudowanego z białego marmuru od dachu aż do fundamentów, stoją czerwone ceglane domy, tam dalej plac pusty ze znakami pogorzeliska; wczoraj tam był pożar, dziś postawią nowy gmach, a jak się ten jutro spali, to pojutrze znów będzie inny. Tam oto kościół, w którym ludzie chwala Pana Boga, becząc jak cielęta, w innym znów drżą, w innym modlą się po katolicku. Ale kościoły te zamknięte, bo to dzień powszedni, więc business nie pozwala się modlić. Zresztą kościoły nie odznaczają się ani wielkością, ani starożytnością, rzekłbyś: także zbudowane na prędcie. Koło kościołów małe cmentarzyki, które tu więcej niż gdzieindziej są miejscami wypoczynku; dalej sklepy pogrzebowe, businessy w trumnach i nagrobkach, dalej znowu ulica. Wystawy sklepowe na podziw świetne i bogate, ale urządzone bez smaku. Na chodnikach, przed lustrzanymi szybami sklepów, leżą kupy śmieci. Miasto zabłocone, brudne, źle wybrukowane;

miejscami stoją małe kałuże czarnego błota, które nie może spłynąć przez zatkane ścieki ku morzu. Mnóstwo papierków, szczątków z gazet, podeptanych skórek z jabłek i pomarańcz, leży wszędzie, tak na chodnikach, jak i na środku ulicy. Między pysznymi powozami, omnibusami, jeżdżą wozy ładowne ogromnemi pakami towarów, lub przechadzają się świnię, niewiadomo do kogo należące, z powystrzępianemi przez psy uszami. Świń tu mnóstwo. »Oto jedna z nich, — mówi Dickens w swym opisie New-Yorku — patrzcie, jak przedziera się między powozami i przechodniami. Ma jedno ucho, drugie oberwały psy w zaciętej walce na placu, gdzie okazała nadzwyczajne męstwo. Szanowna ta świnię postępuje zupełnie tak, jak przystoi na dorzecznego człowieka, z liczby tych, którzy żyją tak zwanem traktyerskiem życiem. Co rano w pewnej godzinie wychodzi z domu, wędruje po mieście, je co się trafi, a wieczorem akuratnie staje przed bramą swego domu. Jest nie-dbałą, leniwą, wysoko ceni swą niepodległość, nienawidzi wszelkiego przymusu i jak z równą obchodzi się z każdą inną świnią« i t. p.

Teraz jest zapewne już mniej tych stworzeń, niż było za czasów pana Dickensa, ale i teraz

spotkać ich można więcej, niż w dziesięciu europejskich miastach, zwłaszcza w dolnych ulicach New-Yorku. Krótko mówiąc, nie widziałem jak żyję miasta nieporządniejszego, i z góry zapowiadam, że wszelkie usiłowania w tym kierunku municypalności warszawskiej nie doprowadzą do żadnego rezultatu: New-York będzie miał zawsze pierwszeństwo, choćby ze względu na swoje położenie portowe.

A jednak żadne może z miast europejskich nie wydaje tyle na utrzymanie porządku i na potrzeby miasta, ile New-York; ale na nieszczęście, jak inne dykasterye urzędowe, tak i municypalność tutejsza składa się z tak biegłych w zawodzie swym złodziejów, że wobec nadużyć ich błedną wszystkie europejskie grynderstwa. Jeżeli np. w jakim z miast europejskich z oficjalnego ratusza rodzi się prywatne ratusiátko, to tu oficjalna mysz musi urodzić prywatną górę, choćby sama mysz miała nie wytrzymać porodu. Grosz publiczny i dobro publiczne są tu niczem więcej, tylko tłustością, którą smarują sobie buty ci, którzy chcą suchą nogą przejść przez błoto.

Później będę jeszcze miał niejednokrotnie sposobność powrócić do podobnego rodzaju na-

dużyć, jako też do przyczyn, które te nadużycia wywołują, teraz zaś wracam do opisu miasta. Jesteśmy zawsze jeszcze na Broadway. Niedaleko City Hall wznosi się wspaniały gmach pocztowy, urządzony jak nigdzie na świecie. Każdy większy sklep, każda kompania, każdy nawet prywatny zamożniejszy mieszkaniec ma tu swoją osobną skrzynkę, oznaczoną pewnym numerem, do której zagląda codziennie, znajdując listy, przesyłki, a nawet pieniądze. Podobne urządzenia istnieją tu i w bankach. Za pewną roczną opłatą dostaje się tu wpuszczoną w granit żelazną szufladę, zamykaną na nader skomplikowany zamek, w której można przechowywać najbezpieczniej w świecie papiery, złoto, kosztowności i tym podobne. Przechowujący przychodzi kiedy chce, wyjmuje ile chce, dokłada ile chce, odcina kupony wtedy, kiedy mu się podoba: słowem, trzymając swoje pieniądze w banku, jest ich panem każdej chwili. Od złodzieja strzegą tu naprzód zamki, potem kraty, a nakoniec straż. Ognia zaś gmachy te, massiv murowane, obawiać się nie mają potrzeby.

Niedaleko City Hall, w kamienicach otaczających *square*, czyli piękny wirydarz, mieszczą się redakcyje takich potężnych dzienników, jak:

»Herald«, »Tribune«, »Times« i »Staats-Zeitung«. Wszystkie te dzienniki odbijają setki tysięcy egzemplarzy dziennie z pomocą machin, które nie mają równych sobie w całej Europie. »Herald«, własność rodziny Bennetów, uważa się dotychczas za najpierwszy dziennik amerykański. Przynosi on miliony dolarów rocznie właścicielom, zatrudnia tysiące ludzi. Redaktorowie jego są uważani za najpierwsze potęgi kraju, z którymi tak rząd, jak i pan prezydent, bardzo rachować się muszą. Niezmiernie liczne linie telegrafów przynoszą tu codziennie wiadomości z całego świata i całych Stanów Zjednoczonych. Częstość się zdarza, że o sprawach nawet europejskich nietylko »Herald«, ale i »Tribune« i »Times«, który dawno wyścignął angielskiego, mają wiadomości i wcześniejsze i dokładniejsze od dzienników europejskich.

Całe armie reporterów, opłacanych na wagę złota i rozproszonych po całym świecie, czuwają, żeby nic godnego uwagi w świecie nie uszło ich wiadomości; ale też nakład tygodniowy pierwszego lepszego z tych dzienników przenosi nakład roczny wszystkich np. razem wziętych pism warszawskich.

Między reporterami »Heralda« znajdują się

takie znakomitości, jak np. Stanley, który teraz kosztem redakcyi przebiega wewnątrz Afryki. Amerykanie z dumą mówią, że wielu nawet ministrów europejskich przesyła w charakterze reporterów wiadomości polityczne do ich dzienników. Oczywiście, jest to bajka, dowodząca jednak, na jak wielką skalę prowadzą się tu wydawnictwa polityczne.

A jednak, pod względem obrobienia literackiego, dzienniki te ustępują europejskim. Talent pisarski nie odgrywa tu dotychczas tak wielkiej roli, jak w Europie. W całej prasie peryodycznej przeważa charakter informacyjny nad literackim, pośpiech i dokładność w otrzymywaniu wiadomości uważa się tu za rzecz najważniejszą; dlatego dzienniki są raczej agencjami niż ogniskami, skupiającemi siły literackie. Osobistości giną tu w ogólnym organiźmie dziennika, tak, że pisarze mają niejako znaczenie komisantów, których skutki działalności są zbiorowo wzięte ogromne, ale których imiona rzadko pod względem czysto literackim wybić się na wierzch mogą.

Ta przewaga charakteru politycznego i informacyjnego nad literackim stanowi poniekąd główną różnicę między prasą amerykańską

a europejską. Odpowiada ona dokładnie charakterowi i usposobieniu ludu amerykańskiego, który w dzienniku szuka pozytywnych, związanych z interesami politycznymi, przemysłowymi i handlowymi wiadomości, nie zaś stylistycznej okraszy, dowcipu lub pisarskiego polotu.

Z drugiej jednak strony, z tej jednostronności ludu, jak i jego organów wypływa to, że kiedy u nas np. prenumerowanie dziennika odpowiada więcej potrzebom czysto umysłowym i uważa się poniekąd za zbytek, bez którego większość mieszkańców po bohatersku obchodzić się umie, w Ameryce dziennik stanowi taką realną potrzebę każdego człowieka, jak np. chleb. Tem się tłumaczą owe miliony czytelników i tysiące pism, wychodzących nietylko w większych miastach, ale częstokroć nawet we wczoraj założonych osadach.

Z redakcyi dzienników przejdźmy teraz na *Wall-Street* (Uol-strit), ulicę niewielką, dość ciasną, ale może jeszcze od Broadway ważniejszą. Jest to ulica bankierów. Od samego rana ludniej na niej, niż na Broadway. Tu mieszczą się skarby, za które możnaby zakupić całe kraje. Rozmaite domy handlowe robią tu rocznie tranzakcyi na sto siedmdziesiąt miliardów franków; o takiej

sumie dopiero wówczas będziemy mieli jakie takie pojęcie, gdy przypomnimy sobie, że pięciu tylko miliardami Bismarck miał nadzieję zrujnować nazawsze Francję. Napozór jednak, nic nie zdradza ważności tej dzielnicy, chyba tysiące ludzi, rozgorączkowane ich twarze i pospiech, z jakim witają się, mówią i żegnają, wskazuje, iż dzieją się tu rzeczy ważne, dla nich zaś najważniejsze w świecie. Tu także mieści się *stock exchange*, czyli giełda, albo jeszcze, jeżeli kto chce: szpital waryatów, cierpiących na *febris aurea*. Spokojnego widza strach przejmuje na widok tego, co się tu dzieje! Gwar tu, wrzask i wrzawa taka, jakby za chwilę miało przyjść do bitwy. Widzisz zaczerwienione twarze, słyszysz ochryple głosy. Ludzie przyskakują do siebie i krzycząc jakby w napadzie maligny, wytrząsają sobie pięściami przed oczyma. Jeden stara się przekrzyczeć drugiego. Sądzisz, że tłumy te ogarnęła naraz niewytłómaczona wściekłość, pod której wpływem natychmiast poczną się mordować wzajemnie. I któżby domyślił się, że jest to nie więcej, tylko sposób porozumienia się handlowego, a owe krzyki i wywijania pięściami służą tylko do tego, żeby się dać lepiej zrozumieć! Gdy wresz-

cie ozwie się dzwonek prezesa na znak, że obroty się kończą, po niejakiem czasie ci sami ludzie wychodzą spokojnie, trzymając się wzajemnie pod ręce.

Prócz banków, prócz stock-exchange, gold-room'u (izby złotej) i innych giełd: zbożowych, wełnianych i bawełnianych, na całej Wall-Street niemasz zresztą nic godnego widzenia. Schodzimy teraz trochę nadół ku ulicom portowym. Ruch tu mniejszy, nieporządek jeszcze większy, błoto częstokroć nie pozwala przejść przez ulicę. Między ludnością spotykamy coraz więcej murzynów. Są to furmani, wyrobnicy, tragarze towarów i t. p. Ubrani są po największej części tylko w spodnie i flanelowe koszule. Welniste głowy ich, nie znające grzebienia ani nożyczek, wyglądają jak kłęby czarnej wełny. Niektórzy z nich pracują, inni stoją przed domami z rękoma w kieszeniach, nic nie robiąc, paląc krótkie fajki, poruszając szczękami, wypchanemi tytuniem, i gapiąc się na przechodzących. Wyglądają wszyscy brzydko i niechlujnie. Kobiety, jeszcze brzydsze, różnią się zresztą od mężczyzn, nie noszących zarostu, więcej ubiorem niż twarzą, mają bowiem takie same spłaszczone nosy, takie same krótkie welniste włosy i czarną skórę.

Czarne owe ladies równie są brudne, jak i ich gentlemenowie, i na głowach nie noszą kapeluszków, a natomiast wszelkiego rodzaju pakunki, towary, naczynia, a nawet zapasy żywności. Tam, gdzie biały człowiek posługuje się plecami i rękoma, czarny najczęściej używa głowy, która widocznie stanowi najtwardszą część jego organizmu. Widziałem murzynkę, która kupiwszy pomarańczę, natychmiast, zamiast nieść w rękę, umieściła ją w czuprynie. Pomarańcza chwiała się wprawdzie cokolwiek na prawo i na lewo, ale otoczona tęgą, pokręconą wełną, spaść nie mogła. Widząc, że patrzę na jej głowę, czarna miss zaczęła podskakiwać razem z pomarańczą, nakoniec wykrzyknąwszy: »All right, sir!« — ukazała mi szereg białych wielkich zębów i oddaliła się, bardzo zadowolona ze swojej zręczności.

Obok murzynów, w tych dzielnicach miasta tulą się także w mizernych, brudnych nad wszelki wyraz i ciasnych domach, biedni emigranci, którzy zwabieni wieścią o łatwym zarobku w Ameryce, przyjechali tu, mając zaledwie czem opłacić przewóz za Ocean. Zarobek w Ameryce istotnie nader jest łatwy, ale w głębi kraju, na Dalekim Zachodzie; w samym zaś

New-Yorku panuje przeludnienie, i dlatego najubożsi właśnie z emigrantów, którzy nie mają czem opłacić dalszej, bardzo kosztownej kolejami podróży, mrą z głodu, chłodu i wszelkiej nędzy. Dzielnice te przypomnially mi zaułki londyńskie, z tą różnicą, że tu stokroć jeszcze brudniej, a ludność, stanowiąca szumowiny proletaryatu wszelkich narodów, gorzej jeszcze wygląda od londyńskiej. Wszelkie choroby epidemiczne i nieepidemiczne dziesiątkują ciągle tych nieszczęśliwych, którzy gdyby dostali się do Stanów zachodnich, mało zaludnionych, albo miejscami wcale nie zaludnionych, wytworzyłiby ludność roboczą, równie dla państwa, jak i dla cywilizacyi pożyteczną.

Jedynym ratunkiem dla tych ludzi jest zaciąganie się do wojska, ale ratunek to bardzo niedostateczny, naprzód dlatego, że cała armia Stanów Zjednoczonych liczy tylko dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy, a powtóre, że do wojska mogą się zaciągać tylko ludzie młodzi, nie obciążeni rodziną. Większość więc żyje bez stałego zarobku, dorywczo, patrząc z zawiścią, a zapewne i nienawiścią, na milionerów, którzy już sami nie mogą porachować swych majątków. Taki stan rzeczy liczne wywołuje między tym

proletaryatem przestępstwa i zbrodnie, spełniane już to dla chęci chwilowego zysku, już wreszcie, jak mnie zapewniano, z tem tylko wyrachowaniem, żeby się dostać do więzienia, w którym każdy z winowajców ma przynajmniej życie i pożywienie zapewnione.

Znakomitą większość owych nieszczęśliwych stanowią Irlandczycy, których w całych Stanach ma się do dziesięciu milionów znajdować. Łatwo ich poznać na pierwszy rzut oka, już to po ubiorach, a raczej po szczątkach narodowego ubioru, już wreszcie po niebieskich oczach, pięknych blond lub ciemnych włosach, silnej budowie ciała, żywości czysto gallijskiej w mowie i ruchach, które to cechy tak silnie odróżniają tę rasę od anglo-saksońskiej, że prawie omylić się nigdy niepodobna. Oddając się pijaństwu, grom i wszelkiej rozpuszcie, przy wrodzonych namiętnościach, ludzie ci popełnialiby zapewne daleko więcej jeszcze występków, gdyby nie religijność, która ich nigdy nie opuszcza. Są wszyscy niezmiernie gorliwymi katolikami i dla przyszłych rozkoszy niebieskich znoszą z cierpliwością wszelakie ziemskie niedole i umartwienia.

W Stanach dalszych, zachodnich, jest ich

także mnóstwo, ale tam nie cierpią takiej nędzy, jak w New-Yorku. Niektórzy dorobili się niezawisłego bytu, inni wcale okazałych fortun, inni nawet milionów. Są solidarni aż do zbudowania, pomagają jedni drugim, trzymają się zawsze razem, głosują razem, t. j. tak, jak im księża wskażą; nie zapominają o swej narodowości i metropolii, kochają Irlandyę w dziesiątym nawet pokoleniu, nienawidzą Anglików i stanowią żywiół, z którym Ameryka bardzo się już liczyć musi, a w przyszłości jeszcze bardziej liczyć się będzie musiała.

Powodem tego jest nadzwyczaj szybki wzrost tej ludności. Irlandczycy płodni są jak króliki, Amerykanie zaś rodowici przeciwnie. Kiedy w stadłach amerykańskich dwoje, a najwięcej troje dzieci stanowi największe przeciętne maximum, pobożne małżeństwa irlandzkie, uważające dzieci za szczególniejsze błogosławieństwo Boże, wydają ich na świat jak maku: »co rok prorok«, jak mówi przysłowie, a tych *roków* zawsze jest bez końca.

Owa nadzwyczajna mnożność pożyteczna jest dotychczas dla Ameryki, której obszary w interesie państwa wymagają zaludnienia. Wogóle Irlandczycy grają już ważną rolę w Sta-

nach Zjednoczonych, a przytem są Stanom potrzebni i pożyteczni ze względów, o których sami Amerykanie może nie wiedzą, a wiedząc nawet — nie cenią. Oto wnoszą pewien pierwiastek idealny w to nawskroś zmateryalizowane społeczeństwo, utrzymując przez to szalę owych pierwiastków idealnych i materyalnych w jakiej takiej pożądaney równowadze. Widzę, jak w tej chwili uśmiechają się koledzy moi pozytywiści, nie przestają jednak utrzymywać tego, co powiedziałem. Zbytńia przewaga usposobień idealnych jest dla danego społeczeństwa szkodliwa: wytwarza ona marzycielstwo, polityczną donkiszoteryę, wygląkanie niebieskiej interwencyi, wzdychanie w zimie do wiosny, próżniactwo, ubóstwo i słabość. Wszystko to prawda niezaprzeczona, ale również prawdą jest, że wszelka jednostronność jest szkodliwą. Jeżeli chcecie narodu bez wszelkich pierwiastków idealnych, oto macie Chińczyków. Tam realizm doszedł do najwyższego rozwoju i wsiąkł tak dalece w usposobienia narodowe, że aż zatałmował wszelki postęp i wszelkie wytwarzanie się potężnych idei, za które umieją ginąć i giną narody europejskie. Chińczycy, zabiwszy w sobie narodową fantazyę, zabili zarazem wszelką

inicjatywę, nietylko już w rzeczach społecznych, ale i w wynalazkach, naukach, sztukach, słowem: zatracili w sobie twórczość wszelką, której matką jest wyobraźnia.

Być może wreszcie, że natura ich skłonniejszą była do takiego kierunku, w jakim poszli; niemniej jednak wrodzone skłonności nie stanowią jeszcze wszystkiego; jak bowiem pierwotne skłonności mogą wpływać na rodzaj cywilizacji, tak następnie rodzaj tejże cywilizacji oddziaływa na nie także w sposób dodatni lub ujemny. Owóż, mojem zdaniem, społeczeństwo amerykańskie, mimo wszelkich swych prawdziwie wielkich przymiotów, wytwarza także cywilizację nader jednostronną, charakter zaś Irlandczyków stanowi w niej równoważnik, zarówno dla dobra całego tego społeczeństwa konieczny, jak i pożyteczny.

Mają jednak i Irlandczycy swoje złe strony. Leniwi są, zwłaszcza w pierwszym pokoleniu, od Amerykanów bez porównania burzliwsi, pochopni do politycznych awantur; stanowią zatem żywioł, zwłaszcza w Rzeczypospolitej, bardzo niebezpieczny. Pozostając przytem bez żadnego wyjątku w ręku księży, mogą wytworzyć z czasem potężną partycję klerykalną, która już

dlatego w każdym państwie jest szkodliwą, że swoje wyłączne cele za najważniejsze uważa; w Stanach Zjednoczonych zaś może przytem, z upływem lat, popsuć ową harmonię, w jakiej żyją dotychczas rozmaite wyznania religijne.

Ale wróćmy jeszcze raz do New-Yorku. Jakkolwiek miasto to, ze względu na brak wszelkich pamiątek historycznych, wspaniałych budowli, kościołów, galeryi, muzeów, wreszcie przez swój nieporządek i brak smaku we wszystkim, niesympatyczne czyni wrażenie, ma jednak i swe strony dodatnie, z których pierwszą i najglówniejszą jest olbrzymi rozwój cywilizacji przemysłowej, przedsiębiorczość i energia mieszkańców, dowodząca niesłychanej żywotności tego młodego społeczeństwa.

Ow nadzwyczajny rozrost miasta, zarówno jak i wszechświatowe już dziś jego znaczenie dla handlu, objaśnia się nie samem tylko jego położeniem geograficznym. Rio-Janeiro i Buenos-Ayres równie, jeżeli nie lepiej jeszcze pod względem handlowym są położone, a jednak ani w dziesiątej części nie mają tego znaczenia, tylko z tego powodu, że ludność ich, pod względem przedsiębiorczości i energii, nie może iść w porównanie z jankesami. Dziś już New-York

razem z Brooklynem i Jersey-City liczy przeszło milion mieszkańców, jeżeli zaś nadzwyczajne jakieś okoliczności nie staną dalszemu jego rozwojowi na przeszkodzie, za pięćdziesiąt lat będzie większy, niż Londyn i Paryż razem wzięte.

Dwa dni pobytu nie starczyły mi oczywiście na dokładne zwiedzenie tego olbrzymiego grodu, który sam siebie *empire city* nazywa. Poznałem jednak jego części najważniejsze, których poznanie tembardziej wystarczać powinno, że, jak mnie zapewniano, inne nie różnią się od nich niczem więcej, chyba tylko większem jeszcze zaniedbaniem i większym nieporządkiem, dochodzącym do tego stopnia, że na ulicach leżą częstokroć zdechłe zwierzęta, na których wzdętych ciałach korzystający ze wszystkiego przemyślowcy przyklejają kartki z anonsami. Jest to szczegól nader charakterystyczny, którego sam wprawdzie nie widziałem, ale o którym czytałem i słyszałem opowiadania naocznych świadków.

Z zakładów publicznych miejskich zasługuje jeszcze na wzmiankę *Central Park*, leżący na Broadway, a będący tem dla New-Yorku, czem lasek Buloński dla Paryża. Jest to park ani

brzydszy, ani piękniejszy od innych parków miejskich, nie może jednak, mojem zdaniem, iść w porównanie z Hyde-Parkiem londyńskim, ani nawet z Thiergartenem berlińskim. Zresztą mniej od tych obydwóch jest odwiedzany, albowiem mieszkańcy w dzień powszedni zajęci są *businessem*, w niedzielę zaś, według amerykańskiego zwyczaju, siedzą po domach.

Pomiędzy kościołami, nie licząc kościołów Brooklinu, który tu miastem kościołów nazywają, niemasz ani jednego, któryby na bliższą zasługiwał uwagę. Najznakomitszy jest *Trynity Church*, założony jeszcze przez Anglików. Jest to dosyć obszerny budynek z wysokimi śpiczastymi wieżami, w stylu nie czysto gotyckim, ale do gotyckiego zbliżonym. Otacza go mały cmentarz, na którym dziś już ludzi nie chowają, ale na którym znajdują się groby kilku znakomitości amerykańskich.

Teatru narodowego amerykańskiego, w wyższem słowa tego znaczeniu, niema wcale ani w New-Yorku, ani, o ile wiem, w całej Ameryce. Teatry istnieją wprawdzie, i nawet ze wszelkim przepychem urządzone, ale grają w nich i śpiewają po największej części zagraniczni artyści, europejskie znakomitości, opła-

cane na wagę złota. Oczywiście sztuki wystawiane są również pióra europejskich pisarzy, a jeżeli czasem trafiają się oryginalne amerykańskie, stoją one niżej wszelkiej krytyki i uchodzić mogą za ledwie za niezgrabne początki, które im na przyszłość nie rokują nic wielkiego.

Jeżeli z tego, co powiedziałem dotychczas, wypada, że New-York, jako miasto, ujemne raczej niż dodatnie czyni wrażenie, nadmienić teraz wypada, że mieszkańcy jego przedstawiają się jeszcze mniej sympatycznie. Mają oni wprawdzie wiele niepoślednich przymiotów, ale te dopiero po bliższem poznaniu ocenić można; na pierwszy rzut oka uderza przedewszystkiem ich brak ogłady, gburowatość i niektóre dzikie przyzwyczajenia, rażące nadzwyczaj każdego świeżego z za Oceanu przybysza. Oczywiście, klasy najwyższe, ludzie bogaci, którzy podróżowali lub znaczną część życia spędzili w Europie, nie różnią się niczem od odpowiednich klas europejskich, ale ogół publiczności, tak, jak on się przedstawia odrazu badaczowi, odznacza się takim brakiem ogłady i delikatności w obyczajach, że nawet najzapaleńsi wielbiele Amerykanów zgodzić się muszą, iż naród rzeczony pod tym względem niżej stoi od każdego in-

nego w Europie. Obyczaje owe i przyzwyczajenia, o których teraz będę pisał, poznałem nie przez owe dwa dni, które spędziłem w New-Yorku, ale po dłuższem z Amerykanami pozyciu.

Przedewszystkiem tedy cudzoziemiec, przybyły do Stanów, napróżnoby szukał tej uprzejmości i gotowości do wskazówek i objaśnień, z jaką spotyka się np. we Francyi. Mieszkaniec Nowego-Yorku wiecznie się śpieszy, i zapytany np. o drogę, odpowiada najczęściej bez namysłu: *O! I don't know* (o! nie wiem), nie dlatego, żeby istotnie nie wiedział, ale że nie chce mu się namyślać i odpowiadać. Grzeczność francuska jest tu rzeczą zgoła nieznaną, jeżeli zaś nawet trafi się cudzoziemcowi spotkać z pewną uprzejmością, jest ona tak szorstką, tak jakoś niesmaczną, tak pełną gburowatej poufalości, że mimowoli chce się odpowiedzieć, jak ów szlachcic z pod Radomska: „*Plus de confidence que de znaijomance!*“ Powszechnie jednak o cudzoziemca nikt się tu nie troszczy. Powody tego można nawet zrozumieć. Paryż i inne miasta europejskie przyzwyczajone są do podróżników bogatych, podróżujących dla własnej przyjemności i należących najwięcej do najwyższych klas

społecznych. W Ameryce jest co innego. Niezmiernie liczną klasę podróżnych stanowią emigranci ubodzy, częstokroć z bardzo ciemną przeszłością, sami nakoniec pozbawieni oglady i dopytujący się o wszystko celem dopytania się do amerykańskich kieszeni. Z tego powodu rodowity Amerykanin patrzy na przyjezdnych z pewną nieufnością, a z drugiej strony, jeżeli przyjezdny wypadkiem nie jest emigrantem, a jest człowiekiem zamożnym i urodzonym, albo bardzo urodzonym, wówczas patrzy z wysokości swych europejskich pojęć i swego europejskiego znaczenia na owe szorstkie, demokratyczne dzieci Ameryki. Wszystko to nie może dodatnio wpływać na uprzejmość w obustronnych stosunkach i opiniach. Jeżeli teraz dodamy jeszcze istotną wrodzoną gburowatość Amerykanów, zrozumieemy łatwo, że zwłaszcza początkowe stosunki z nimi stają się prawie nieznośne.

Wreszcie Amerykanie sami wiedzą dobrze o tej gburowatości; niektórzy, zwłaszcza oświeceni, starają się nawet wyleczyć z niej i siebie i swych braci; większość jednak uważa ją za pewną republikańską i demokratyczną cechę narodową, i skutkiem takiego poglądu, raczej szczycić się z niej niż poprawić się jest gotowa.

Jest to równie często spotykany, jak i głupowaty objaw miłości własnej. Tak narody całe, jak i pojedynczy ludzie, przez rozmiłowanie się zbyt w samych sobie, dochodzą do tego stopnia głupoty, że nawet na wady swoje patrzą przez szkła różowe, jakoby na coś takiego, co szczególniejszy stanowi ich przymiot, którym górują nad innymi. Objaw tej słabości w pojedynczych ludziach każdemu zaobserwować nader łatwo. Jeżeli pan Jacek może i odważa się wypić odrazu garniec wina, dla ludzi obdarzonych zdrowym rozsądkiem jest to tylko dowód, że pan Jacek jest prosięciem; ale pan Jacek z dumą zawsze wspomina o tych swoich zdolnościach i gotów jest nawet wyzwąć na rękę każdego, ktoby mu ich stanowczo zaprzeczał. To uwielbienie nawet ujemnych stron własnych dochodzi do tego stopnia, że słyszymy często ludzi mówiących: »mój paraliż, mój katar żołądka, mój wściekły charakter« i t. p., z pewnym odcieniem, nie już pobrażania, ale jak gdyby chluby. Między narodami dzieje się, jak wspomniałem, podobnie.

Amerykanie pod tym względem nie stanowią wyjątku. Uważają się przytem za najpierwszy naród na świecie; tymczasem większa część

wykształceńszych przybyszów skłonna jest raczej twierdzić, że w Stanach Zjednoczonych istnieje państwo, ale niema narodu w ścisłym, europejskiem tego słowa znaczeniu. Według powyższej opinii, jest to wielki zbiór ludzi wszelkich narodowości, handlujących, sprzedających, pracujących w roli lub przemyśle, urządzonych w wielką spółkę, zorganizowanych w pewien kształt państwowy pod takimi a takimi prawami, ale pozbawionych wszelkich cech, jakimi zwykle odznacza się każdy jednolity naród.

Do pewnego stopnia jest to nawet prawda, ale o ile ona jest bezwzględna, nie będę teraz rozstrzygał, chcę bowiem mówić o pewnych poszczególnych zwyczajach, które, jak mam nadzieję, więcej będą zajmowały moich czytelników. W czymże tedy objawia się ów brak cywilizacji obyczajowej, o której wspominałem powyżej? Mogę odpowiedzieć: we wszystkim; a zresztą, niech sam czytelnik osądzi. Do godziny czwartej lub piątej po południu, każdy prawie z mieszkańców, tak New-Yorku, jak w ogóle całej Ameryki, pracuje z gorączkową namiętnością nad zrobieniem fortuny, która stanowi główną wartość człowieka, co nawet wyraziło się i w języku, nie mówią tu bowiem:

człowiek ma tyle a tyle, lecz: wart jest tyle a tyle. Wieczorem wszelkie zajęcia kończą się, i następuje obiad, po którym z kolei odpoczynek. Każdy należący do średniej klasy Amerykanin (bo powtarzam jeszcze raz, że nie mówię o klasach wyższych) wydobywa wówczas z kieszeni kłak tytoniu, ucina go scyzorykiem, pograża w ustach i poczyna żuć ze smakiem. Jednocześnie z tą czynnością, siada na biegunowem krześle, zakłada nogi na stół lub na okno, i nie chowając scyzoryka, kraje nim co mu popadnie pod oczy, chociażby poręcz krzesła, ramę okna; jeżeli się rzecz dzieje w ogrodzie, to kratę werendy; nakoniec stół lub wreszcie cokolwiekbądź innego. Owo krajanie scyzorykiem tak dalece wsiąkło w naturę tych ludzi, że wielu z nich nosi umyślnie na ten cel przeznaczone kawałki drzewa. Częstość takie zajęcia służy także do pokrycia głupoty lub braku zasobów umysłowych. Jeżeli Amerykanin znajduje się wypadkiem w towarzystwie cudzoziemców, z którymi pod żadnym względem nie stoi na równi, wówczas niezawodnie będzie coś krajał scyzorykiem i milczał pogardliwie, niby dla okazania, że jako prawdziwy republikanin i demokrat, nic sobie nie robi z owej wykwint-

ności i oglady, których w głębi duszy innym zazdrości i których braku się wstydzi.

Ohydny zwyczaj żucia tytoniu zmniejsza się już wprawdzie, zwłaszcza po większych miastach, coraz bardziej, ale i dziś jeszcze jest dość powszechny. Rzuciwszy okiem na pierwsze lepsze zgromadzenie ludzi, dostrzeżesz, że większa część mężczyzn porusza systematycznie szczękami, jakby należała do zwierząt przeżuwających, i spluwa co chwila obrzydliwy sok tytoniowy; przytem policzki ich, wypchane od wewnątrz tytoniem, wyglądają jak gdyby napuchłe. W hotelach i restauracjach, gdzie tylko są marmury, znajdują się także i drukowane ostrzeżenia, proszące publiczności, aby raczyła spluwać w spluwaczki, nie zaś na marmury, które się od tego plamią i psują. Wreszcie spluwaczki znajdują się w ogromnej ilości wszędzie, tak w mieszkaniach prywatnych, jak i w miejscach publicznych.

Ale gburostwo amerykańskie nie w tych tylko zwyczajach się uwidocznia. Amerykanie wstają od stołu nie dziękując sobie wzajemnie za towarzystwo; witają się prostym kiwnięciem głowy lub ręki; w rozmowie trzymają się wzajemnie za guziki lub klapy od surdutów, co tak

dalece jest rozpowszechnione, że praktykuje się nawet między służącymi a panami; nakoniec, nie zdejmują kapeluszków nawet w mieszkaniach prywatnych, a surduty zrzucają wszędzie, nawet wobec kobiet lub w miejscach, których sama powaga przyrodzona na podobne postępowanie nie zezwala.

W New-Yorku nie byłem wprawdzie z braku czasu w żadnym z urzędowych miejsc publicznych, ale zdarzyło mi się w parę miesięcy później być na sądzie przysięgłych w Sacramento, stolicy Kalifornii. Cóż powiecie, czytelnicy? Sędzia prezydujący siedział na osobnej katedrze, męczony przez głośną czkawkę, i poruszając jak wół szczękami wypchanymi tytuniem, wodził omdlałym wzrokiem po zgromadzeniu; sędziowie przysięgli bez surdutów, żując również tytuń, leżeli raczej niż siedzieli na swych krzesłach z nogami pozakładanymi na pulpity; adwokaci również byli tylko w kamizelkach, i publiczność trzymała nogi wyżej głów, a kapelusze na głowach; wszyscy chrząkali, pluli, jakby pobierali za to osobne pensye, całość zaś zgromadzenia, na mnie, przyzwyczajonym do powagi i uroczystości sądów europejskich, zrobiła wrażenie jakiejś brudnej niemieckiej knajpy,

o której można powiedzieć, że tem swobodniej się oddycha, im prędzej się ją opuszcza.

Zapewniano mnie, że w miastach pomniejszych wszystko jeszcze bez porównania gorzej wygląda. Moznaby wreszcie darować sądom tym ich republikańską prostotę i nieobyczajność, gdyby również republikańskimi były ich sumienia i sprawiedliwość w wydawaniu wyroków. Ale sami Amerykanie przyznają, że nie masz więcej złodziejskiego sądownictwa na świecie, niż ich własne. Jeżeli tu chcesz suchą nogą przejść przez błoto, posmaruj sprawiedliwość, jak mówi stary John, a sprawiedliwość posmaruje ci buty. Jest to jedna z większych prawd na świecie. Zresztą stosuje się to nietylko do sądownictwa, ale do całego systemu administracyi w Stanach Zjednoczonych; nigdzie bowiem zapewne sumienie publiczne nie jest tak uśpione, jak tutaj. Przyczyny tego łatwo czytelnicy zrozumieją. Pensye urzędników wogóle są bardzo niewielkie, emerytur niema wcale, a przytem ustawiczna walka partyi republikańskiej z demokratyczną i ciągle przechylenie się zwycięstwa to na jedną, to na drugą stronę, nigdy nie pozwala tym samym osobom utrzymać się dłużej przy urzędach. Każda partya, przychodząc

do władzy, wypędza natychmiast wszystkich urzędników dawniejszych z zajmowanych posad, a obsadza je swymi stronnikami, którzy uważają to za nagrodę, i wiedząc przytem, że dłużej nad rok lub dwa miejsca nie zagrzeją, starają się wyciągnąć z niego wszelkie możliwe korzyści.

Jest to system do najwyższego stopnia wadliwy, i wszystkie owe ogromne złodziejstwa, o których tyle piszą gazety tutejsze i zagraniczne, są tylko bezpośrednim jego wpływem. Ale swoją drogą system ten tak dalece zrósł się z instytucjami republikańskimi Stanów, tak dalece stanowi zasadniczą ich istotę, że odmienić go prawie niepodobna.

Gdyby nakoniec system ten i był wreszcie odmieniony, wyrosłoby z tego złe inne. W każdej republice, jakkolwiek ona jest, należy, aby urzędnicy na wszelkich posadach działali w myśl rządu, to jest narodowej rządzącej większości; inaczej zawsze zrodzi się stan rzeczy podobny do tego, jaki przed niedawnym czasem istniał, a pod pewnym względem i dziś jeszcze istnieje we Francyi, gdzie rząd jest republikański, urzędnicy monarchiczni, a w tem rozdrożu między Sasem a Lasem kręci się oszołomiony naród,

nie wiedząc, jak wyjść z tego zaczarowanego kola i dokąd iść dalej.

Nie w zmianach tedy systemu, nie w przewrotach instytucyi państwowych leży *salus reipublicae*, ale w radykalnej reformie wychowania przyszłych pokoleń obywateli i w oddziaływaniu przeciw rozpowszechnionemu w Ameryce mniemaniu, że pieniądz tylko stanowi wartość człowieka, a korzyści materyalne i użycie — jedyny cel, za którym ubiegać się warto. Zrozumieli to Amerykanie, należy oddać im sprawiedliwość, i dlatego wychowanie powierzyli po największej części w ręce kobiet, które z natury bardziej idealne, oddziałują też w tym duchu i na młodzież.

Jest to ten sam wzgląd, dla którego właśnie nie uważałbym za stosowne powierzać u nas wychowania w ręce kobiet, albowiem nasze społeczeństwo stanowi, pod względem usposobień, można rzec, przeciwny biegun społeczeństwa amerykańskiego. Przenoszenie żywcem i na ślepo obcych instytucyi dlatego tylko, że one gdzieindziej są zbawienne i dobre, może być bardzo dla nas szkodliwe, i ktoby tak czynił, byłby podobny do owego doktora amerykańskiego, który wszelkie słabości leczył aloesem,

twierdząc, że czy pacjent przychodzi do zdrowia, czy umiera, on jako doktor zawsze tylko dopomaga naturze.

Powinni u nas pamiętać o tem ci, którzy skądinąd istotnie niosą naprzód chorągiew oświaty krajowej.

Ale w Ameryce jest rzecz inna. W Ameryce powierzenie wychowania kobietom ma jeszcze tę nieskończenie dobrą stronę, że wpływa ogromnie na wzrost cywilizacyi obyczajowej, która tak nisko tu stoi. Nauczyciel męczyzna nie ma i nie może mieć takiego wpływu obyczajowego na swoich wychowañców, jak kobieta delikatna i dobrze wychowana, której sama obecność każe tak nawpół dzikim pauprom, jak i ich ojcom hamować porywy nieokrzesanych namiętności. Łatwiej to jeszcze zrozumiemy, gdy przypomnimy sobie szacunek, jaki otacza tu kobiety. Istotnie, pod względem wpływu na obyczaje, powołanie nauczycielek jest w Stanach Zjednoczonych prawdziwą misją. Ja sam znam pewną szkółkę nad rzeką Cosumnes, albo po indyjsku Makosine, w Kalifornii. Okolica ta jest prawie jeszcze dzika; Indyanie, którzy ustąpili z niej niedawno, tułają się tu i owdzie; mieszkańcy składają się z uboższych fermerów, pastuchów

owiec, górników czyli przemywaczów złota i na koniec z Chińczyków, których tu wszędzie jest pełno. Łatwo zrozumieć, jak nieokrzesane i pełne dzikich instynktów jest to niedawno osiadłe i złożone z tak różnorodnych żywiołów społeczeństwo.

Otóż, wyobraźcie sobie, że wpośród tych niesfornych żywiołów istnieje szkółka, do której mieszkańcy muszą posyłać swe dzieci, a w szkółce jest nauczycielką młoda miss, wątpa, drobnutka, delikatna jak mimoza, przyzwyczajona do innego życia i do innego otoczenia. Ale trzeba widzieć, jak pierwszy lepszy gbur okoliczny czuje się wobec niej skrępowanym, jak obraca kapelusz w rękę; nie wie co robić, jak usiąść i co myśleć o tem zjawisku, którego oczy jego nie nawykły wcale oglądać. Wobec niej nikt tu sobie nie pozwoli grubijańskich żartów, ani przekleństw »na oczy i duszę« bliźniego, bo każdy instynktownie czuje całą niestosowność takiego postępowania; a ktoby wreszcie jej nie czuł, tego wkrótce nauczyłyby rozumu pięści i rewolwery sąsiadów. Łatwo z tego wyciągnąć wniosek, że nietylko przyszłe pokolenie, ale nawet i terażniejsze, pod podobnym wpływem mięknie i uczy się łagodniejszych obyczajów.

Przebiegając ze strzelbą brzegi Kosumny i okoliczne góry, kilkakrotnie znechęcony ciekawością i — mamże wyznać? — wdziękami nauczycielki, zaglądałem do owej samotnie stojącej szkółki. Jest to niewielki dom, obejmujący jedną tylko salę. W sali stoją ławki, urządzone według najnowszej metody higienicznej; na ścianach wiszą mapy Stanów Zjednoczonych, Europy i pozostałych części świata; między mapami zaś wisi napis, upleciony z nieśmiertelników przez same dzieci: „*Knowledge is power*“ (*noledź is pauer*): Wiedza to siła. Naprzeciw ławek stoi katedra, której jednak nauczycielka najczęściej nie zajmuje, ale chodząc między ławkami, prowadzi swoje wykłady sposobem, można powiedzieć: perypatetycznym. Przytem, ponieważ dzieci przychodzące znajdują się na rozmaitym stopniu rozwinięcia, każde więc niemal trzeba uczyć osobno. Nauka czytania, pisanie, arytmetyki stoi oczywiście na pierwszym planie, ale oprócz tego wykłady obejmują także i zoologię, botanikę, geografję i t. p. System nauczania przyjęto doświadczalny i istotnie niezmiernie praktyczny, znany już zresztą wszędzie. Naukę geografji rozpoczyna nauczycielka od domu, w którym stoi szkoła, przyczem dzieci

dowiadują się rzeczy arcy pożytecznych: jak się stawia domy, na co izby są potrzebne i t. d. Poznawszy szkołę, poznają *country*, w której szkoła się znajduje, miasteczka, rzeki, następnie całą prowincję, następnie Stany Zjednoczone; nauczycielka coraz bardziej rozszerza widnokrąg ich wiedzy, dopóki nie obejmie całej ziemi. W nauce zoologii i botaniki dzieci poznają przede wszystkim faunę i florę własnych okolic; widzą mnóstwo roślin, na które patrzą zresztą codziennie, przechodząc z ferm do szkoły; ale nauczycielka wyklada im szkodliwe lub pożyteczne własności; tak samo obznajmia wychowalców i wychowanki ze zwierzętami, minerałami i t. p.

Jest to system wyborny, dzięki któremu w całych Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza w młodem pokoleniu, niema człowieka, któryby nie umiał czytać, pisać, rachować, nie rozumiał się na polityce, słowem: któryby nie był mniej więcej przygotowany do zawodu obywatelskiego. Jest także równie nieplonna, jak uzasadniona faktami nadzieja, że szkoły takie i nauczycielki wpłyną również na rozbudzenie się uczciwości obywatelskiej i sumienia publicznego, którem teraz chyba młode koty tu się bawią.

Szkół podobnych do wyżej opisanych jest mnóstwo. Gdzie tylko w pustyni powstaje kilka ferm, tam wśród Indyan jeszcze, bawolów, niedźwiedzi, gryzli, jaguarów i grzechotników, powstaje natychmiast i szkoła, do której dzieci chodzą czasem o kilka mil odległości, codziennie. Żadne państwo nie wydaje tyle na wychowanie, ile Stany Zjednoczone, ale żadne też nie osiągnie w niedalekiej przyszłości tak znakomych z wychowania rezultatów.

Wychowaniem młodzieży, zwłaszcza elementarnem, zajmują się prawie wyłącznie kobiety. O dobrych stronach tego systemu już mówiłem, teraz wspomnę o złych, bo każdy medal na świecie ma swoje dwie strony. Oto każda nauczycielka jest to po największej części „*interesting young lady*“, w której samotność rozwija do wysokiego stopnia usposobienie romansowe, młodość zaś i krew gwałtu krzyczy na pustyni. Skutkiem tego zdarza się najczęściej, że jaki młody rycerz pustyni, jaki traper lub fermer, ubrany przez panięńską wyobraźnię w tęczowe kolory bohaterstwa, wsiąka w tę wyobraźnię, jak potoki dżdżu w ziemię, a potem następują *widywania się pod jaworu drzewem*, potem ciche: *jam twój — ty moja — tyś mój* i inne zaimki dzier-

żawcze, odmieniane przez wszystkie przypadki; potem jeszcze male: *na wieki, ach! na wieki!* a na koniec, jak mówi Słowacki:

„ rzeczy złe i zdrożne,
O których książki już mówią nabożne.“

Oczywiście skutkiem tych rzeczy, moralność i obowiązki nauczycielki akurat tyle tracą, ile dyabeł zyskuje. Szczęściem, w tym kraju, na mocy interwencyi państwa, takie stosunki są drabiną, z której się albo szyję łamie, albo nieodmiennie idzie przed oltarz. Dobrze to napisać, choćby na użytek moich ziomków, którzy wszędzie za granicą pod tym względem dziwnie są przedsiębiorczy.

A teraz kilka słów o kobietach amerykańskich. Pod wielu względami kobiety amerykańskie niższe są od europejskich, i owo dobitne rzymskie określenie: *domiseda, lanifica, pia* — żadną miarą do Amerykanek zastosować się nie da. Tu powszechnie taki jest stosunek: mąż pracuje, żona panuje i używa darów bożych, jak jej się podoba. Moźnaby tu słusznie, na wzór owego starosty austriackiego, który powiesił na drągu kapelusz, kazał mu się kłaniać Szwajcarom, powiesić na drągu pantofel. Roz-

kaz kłaniania mu się jednak byłby zupełnie zbyteczny, bo każdy mąż, jeśli tylko chciał być szczerym, zdjąłby przed nim kapelusz z własnej woli. Amerykanki stroją się więcej niż wszystkie kobiety na świecie. Stojąc przez pół godziny na Broadway w New-Yorku, więcej widziałem rozmaitych sukni jedwabnych i kaszmirowych, czarnych, żółtych, zielonych, pstrych i czerwonych, niżbym mógł zobaczyć na bulwarach w Paryżu. Niewiele w tem wszystkim smaku, ale wiele przepychu. W hotelach, na obiady przychodziły damy postrojone jak na bal, w złotych manelach, zausznicach, naramiennikach i t. p. Są przytem nadzwyczajnie śmiałe, wyzywające i kokietki do tego stopnia, że słusznie można rzec, iż role tu zostały zamienione, i stroną prowokującą jest kobieta. Nie brak tu i niebieskich pończoch, ale wogóle wieści, jakie krążą o wykształceniu Amerykanek w Europie, są do wysokiego stopnia przesadzone. Owszem, średnie wykształcenie kobiet w Europie, mojem zdaniem, jest daleko wyższe. Panny tutejsze prowadzą życie nader swobodne, i mało jest takich, których przeszłość nie miałaby pewnej historyjki, wynikłej już to ze zbyt gorliwego uprawiania związku, zwanego »flirte-

szyn« (*flirtation*), już to i bez flirteszyn. »Ja nie patrzę w przeszłość mego męża, niechże i on w moją nie patrzy» — oto jest zdanie bardzo utarte między Amerykankami, które doprowadziłoby zapewne do większych nadużyć, gdyby temperament ich energiczny, ale chłodny, i pewna przewaga rozumu nad uczuciem nie stanowiły bardzo silnego hamulca.

Cudzoziemcy mają tu wiele powodzenia u kobiet, ze względu na swą ogładę i wykwintność, którą nad krajowcami celują; często jednak biorą fałszywą monetę za dobrą, a jeżeli i znajdują istotnie dobrą, to tem gorzej dla nich, bo jak wspomniałem, oltarz jest tu konsekwencyą, nawet nie lada winy, ale lada nieostrożności.

Zresztą kobiety amerykańskie nie są piękne. Brak w ich rysach rasy i dystynkcyi tem nieznośniejszym czyni ich despotyzm. Despotyzm ten daje się czuć wszędzie: w domach, na kolejach, w wagonach, a nawet na ulicach, gdzie powożące lady jeżdżą jak szalone, ani dbając, że kogoś mogą rozjechać. Prawo nie tylko nie kładzie despotyzmowi pewnej miary, ale bierze go nawet w opiekę. W Kalifornii zapadło niedawno postanowienie, że mąż, któryby bił swą żonę, otrzyma dwadzieścia jeden bizu-

nów ze skóry bawolej. Dlaczego dwadzieścia jeden, nie dwadzieścia lub dwadzieścia pięć? — są to tajemnice amerykańskiej legislatury. Koniec końców, kto się nie uwinął zawczasu, temu teraz zamknięta droga na wieki.

Gdyby istotnie surowość mężów przechodziła tu granice, i gdyby prawo takie zapadło wskutek istotnych nadużyć, możnaby je jeszcze wyrozumieć; ale w kraju, gdzie mąż pracuje jak cztery konie, żona zaś kołysze się również cały dzień w biegunowem krześle, po powrocie zaś małżonka przygotowuje go z takim sosem, z jakim jej się podoba, jest to tylko dolewanie oliwy do ognia. Rozsądni ludzie śmieją się tedy z tego niewczesnego wyskoku filantropii, niektóre zaś dzienniki twierdziły, że odtąd wszelki małżonek, mający ochotę wybić połowicę, musi wyjechać z Kalifornii do innego Stanu i wracać dopiero po dokonanej operacji. Przepowiadają w skutek tego znakomite powiększenie się ruchu na kolejach, wątpię jednak czy urzędnicy kolejowi, zwłaszcza żonaci, wierzą w tę przepowiednię choć trochę.

Szacunek, jakim tu jest otoczona kobieta, łatwo wyjaśnia się tem, że mówiąc językiem handlowym, popyt na pleć piękną daleko jest tu

większy od podaży. Kobiet wogóle w Ameryce jest mało, w nowo zaludniających się zaś okolicach tak mało, że zaledwie jedna na dwudziestu lub trzydziestu mężczyzn przypada. Tem się tłumaczy, że nawet bardzo nieokrzesani i pozbawieni wszelkiej oglady ludzie obchodzą się tu z kobietą jak z czemś szklanem.

Grzeczności jednak amerykańskich nie należy brać za jedno, naprzykład z francuską, lub wogóle z europejską. Amerykanin zdejmuje przy kobietach surdut i t. p., słowem, postępuje według swoich zwyczajów, które raczej za niegrzeczność lub lekceważenie poczytałaby każda Europejka. Ale gdy francuska uprzejmość ma najczęściej na celu zdradę i chęć skorzystania z dobrej sposobności, tu kobieta jest zupełnie bezpieczna: sto pięści i sto rewolwerów podniesie się każdej chwili na zuchwalca, któryby śmiał jej w jakikolwiek sposób ubliżyć. Nic dziwnego, że kobiety wiedzą o tem i uważają się za jakieś wybrane istoty, którym cześć czysto religijna jak Panu Bogu się należy.

W ogóle Europejczycy mają pod wielu względami fałszywe o Amerykanach i Ameryce wyobrażenie. Wspomniałem o religijności; niech mi więc wolno będzie pobieżnie i o tej stronie ży-

cia tutejszego wspomnieć. Społeczeństwo amerykańskie uchodzi za najreligijniejsze na świecie. Ludzi wątpiących istotnie niema tu wcale, przepisy religijne zachowywane są najściślej, w niedziele i święta głucha martwota upada na wsie i miasta, sklepy są pozamykane, fiakry i omnibusy nie kursują prawie zupełnie; w teatrach nie grają, miejsca publiczne są puste; słowem, powaga tu i uroczystość większa, niż wszędzie na świecie. Ale wejrzawszy w to bliżej, widzimy w tem raczej wpływ zwyczaju, nie wdającego się w żadne rozumowania, niż żywotnej, gorącej, świadomej siebie wiary. Społeczeństwo tutejsze nadzwyczaj jest pozytywne, nad rzeczami, nie mającemi związku z rzeczywistością, z korzyściami materyalnemi, z czemś, co się da uchwycić i obrachować, nikt tu nie łamie sobie głowy. Kwestye takie, jak początek wszechrzeczy, istnienie Stwórcy, nieśmiertelność duszy i tym podobne, które odgrywają tak potężną rolę w umysłach młodzieży europejskiej, uniwersytetów, filozofów i uczonych, a które tak często prowadzą naprzód do filozoficznego bankructwa, a potem do zwątpienia, łatwo udzielającego się ogółowi, tu nie mają najmniejszej wagi. Żaden naród na świecie nie jest mniej

zdolny do wszelkiej refleksyi filozoficznej niż Amerykanie. Tu każdy więcej żyje życiem czynów, niż myśli, więc zajęty handlem, przemysłem, rolą i t. p., o racye religijności się nie pyta. Przychodzi niedziela, Amerykanin idzie więc do kościoła, bo tak chce zwyczaj; czyta pobożną książkę, bo tak chce zwyczaj; siedzi w domu, bo wszyscy siedzą w domach; kto tam wie jednak, czy w tej całej religijności niemasz więcej rutyny i mechanicznego przyzwyczajenia, niż prawdziwego uczucia.

Z drugiej strony mnóstwo sekt i emulacya między nimi, walka z potężniejącym coraz katolicyzmem, zabarwia cokolwiek owe uczucia religijne polityką, która, bądź co bądź, jeżeli jest bodźcem, to jest bodźcem czysto światowym. Wyznawcy dawnej sekty starają się ją podtrzymać i rozszerzyć, muszą więc dawać z siebie przykład. Stronnictwo zawsze przywiązuje do siebie, a w skutek poplątania interesów ogólnych z osobistymi, rodzi stronników, którzy tyłu już węzłami są z nimi spojeni, że odłączyć się ani chcą, ani mogą, choćby dla głównej zasady byli chłodni.

Natomiast każdy Amerykanin ową wolność religijną uważa za perłę konstytucyi Stanów

Zjednoczonych, a chcąc tę wolność zmanifestować, musi spełniać gorliwie wszelkie obrządki sekty, do której należy.

Pierwszy jednak przytoczony przeze mnie wzgląd jest najważniejszy. »Business« nie pozwala rozstrzygać transcendentálnych kwestyi, zatem nikt ich nie rozstrzyga, i sprawy religijne idą tak, jak każe zwyczaj i pamięć ojców.

Na tem kończę ten pobieżny rys o Ameryce i Amerykanach w ogólności, o New-Yorku zaś w szczególności. Do wielu kwestyi w nim poruszonych przyjdzie mi jeszcze nieraz powrócić. Tu tylko nadmienię, że jakkolwiek wytknąłem wiele ujemnych stron tego społeczeństwa, jednakże o przyszłości jego wcale wątpić nie należy. Posiada ono jeden potężny warunek, oto: wszelką możność rozwoju; młode jest przytem, dzielne, energiczne nad wszelki wyraz. Wady swoje rozumie i stara się je poprawić, a ponieważ odważne jest, próbuje więc wszelkich środków i sposobów. Wiele z tych środków okaże się zapewne błędnymi, ale przed próbą nikt się tu nie cofnie. Postęp nie czeka tu na zmiłowanie Boże i na to, żeby w innych krajach poszli ludzie o sto mil dalej. Nikt tu nie woła na Fran-

cye, Anglię, i Niemcy: »Hej tam, chłopczyku, czekaj, spróbuję i ja!« Tu próbują naprzód wszystkiego. Ślepy i spróchniały konserwatyzm, który na widok lada czego, na widok, dajmy na to, nowo wynalezionych przez panią Ówiercia-kiewiczową naleśników, kiwa gdzieindziej głową i mówi: »Mój Boże, za moich czasów nie jada-liśmy naleśników, a jednak«... i t. p., taki kon-serwatyzm, powtarzam, miałki i drobnostkowy, nie siedzi w kształcie klina w większości głów amerykańskich, dlatego głowy te myślą i ob-myślą zapewne dla siebie to, co im się będzie zdawało najlepszem.

W następnym liście przejdę wprost do skreś-lenia wrażzeń moich z podróży kolejną dwóch Oceanów.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

Każdy prenumerator

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

otrzyma w r. 1899 bez żadnej dopłaty

12 tomów dzieł Sienkiewicza

w nowem wydaniu, obejmującym w 36-ciu 10-cio arkuszowych tomach (z wyjątkiem „Trylogii“) wszystkie utwory autora „**QUO VADIS**“.

„Tygodnik Ilustrowany“ daje rocznie przeszło 1200 ilustracji oraz bezpłatne reprodukcje kolorowe obrazów mistrzów naszych.

W roku 1899 drukowane będą jednocześnie **dwie powieści oryginalne**, mianowicie ciąg dalszy wielkiej powieści historycznej p. t.:

„**Krzyżacy**“

Sienkiewicza

której początek nowi prenumeratory nabywać mogą za kop. 90, oraz

„**ARGONAUCI**“

większa powieść

ELIZY ORZESZKOWEJ.

W dodatku powieściowym, dołączanym co tydzień w arkuszach, rozpoczęliśmy z Nowym Rokiem powieść historyczną głośnego pisarza węgierskiego J. Wernera pod tyt.:

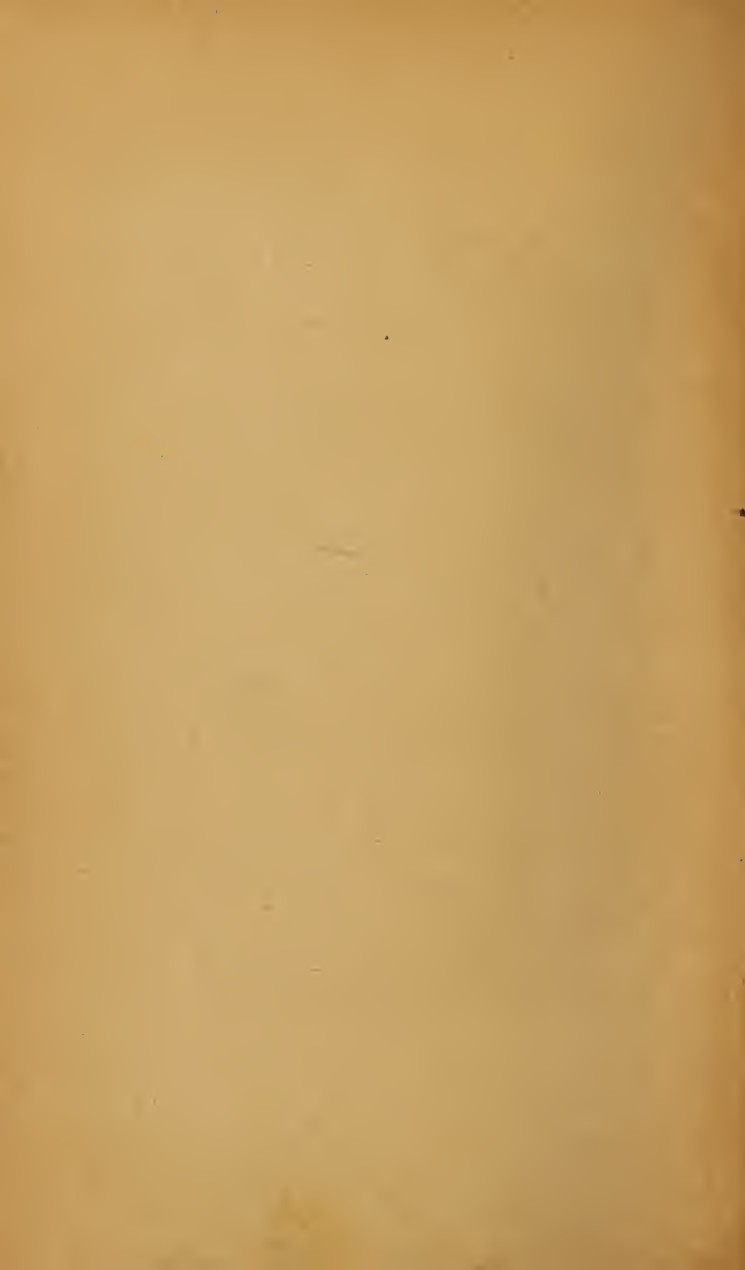
„**Z POPIOŁÓW**“.

Prenumerata „Tygodnika Ilustrowanego“ wraz z dodatkiem powieściowym i 12-tu tomami dzieł H. Sienkiewicza wynosi: w Warszawie rocznie rub. 8; z przesyłką pocztową kwart. rub. 3, półrocznie rub. 6, rocznie rub. 12.

W Krakowie kwartalnie 3.30 złr., we Lwowie kwartalnie złr. 3.60, a w Galicyi z przesyłką poczt. kwartalnie złr. 3.75.

Adres Administracji „Tygodnika Ilustrowanego“:

Krakowskie Przedmieście, 17, Warszawa.



Storage E 2

486077

Sienkiewicz, Henryk
Pisma.

v.3

LP
S5724

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET



